MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIV. Nr. 43. WARSZAWA, 7 PAŹDZIERNIKA 1934 R. CENA NUMERU 80 GR.

POLSKA WŚRÓD SŁOWIAŃSZCZYZNY

ZAKOŃCZONY przed kilku dniami, drugi międzynarodowy Zjazd Slawistów, mimowoli zwraca naszą uwagę na Słowiańszczyznę, to tak zwykle zapominane, a naturalne tło naszych dziejów.

Długie lata konfliktu z Rosją, która potrafiła z słowianofilstwa uczynić poprostu narzędzie własnej potęgi — oduczyły nas niemal myśleć po słowiańsku i odgrodziły od pobratymczego świata. Prawosławie, zatarg z Czechami, irredenty naszych słowian kresowych dokonały reszty; czuliśmy się zawsze silnie związani z Zachodem, a całkiem niemal obcy naszym najbliższym sąsiadom. Wreszcie, co wcale nie było najmniejszą rzeczą, społeczeństwa słowiańskie były dla nas za pierwotne, za prymitywne, zabardzo chłopskie w swojej strukturze, — nasza pańska kultura nie miała w całym tym świecie, poza chorwacką, żadnej podobnej, ani pokrewnej duchowo, — a i rozszerzając pojęcie Słowiańszczyzny na kraje „międzysłowiańskie" (jakby je nazwać można), nie natrafialiśmy poza Węgrami na nic sobie bliższego.

Pogłębiała się więc coraz bardziej wzajemna obcość, i dziś, gdy w całkiem zmienionych warunkach Słowiańszczyzna i „sławolubstwo" nabrały zgoła nowych znaczeń, nie potrafiliśmy znaleźć ze Słowiaństwem wspólnego języka i zorganizować tego świata po swojemu. Uwierzyliśmy, że pierwszeństwo w Słowiańszczyźnie należy się półsłowiańskiej zaledwie, eurazyjskiej Rosji, i gdy tej Rosji zbrakło, bo bolszewizm organizował inną, na innem braterstwie opartą międzynarodówkę, pozwoliliśmy się zastąpić Czechom. Jakżeż znamienne tu jest, że pierwszy właśnie Zjazd Slawistów odbył się w Pradze, tej narazie bezsprzecznie duchowej stolicy Słowiańszczyzny.

A jednakowoż powinna nią być Warszawa, bo właściwie my jesteśmy pierwszym ze słowiańskich narodów, i to nasze pierwszeństwo przez nikogo objektywnego kwestjonowane być nie może. Prawo do niego daje nam i liczba, i poziom kultury, i tradycja historji, mimo pozornego prymatu Rosji, bo nasz prymat jest i starszy i istotniejszy.

Warto to sobie przypomnieć, a przypomniawszy i upomnieć o to, zyska zaś na tem nietylko nasz *prestige* państwowy, ale także i samopoczucie narodowe, stale dotychczas cierpiące, mimo wszelkiej „mocarstwowej" pozy, na tak wyszydzany „kompleks niższości".

A innem ono być nie mogło. Zapatrzeni w Zachód, zaznaczając ciągle nasze z nim węzły, nasz związek z tym światem rzymskim, do którego zresztą bezsprzecznie należymy — zaliczaliśmy się wciąż do starszych od nas o porządnych parę setek lat historji, społeczeństw romańsko-germańskich, poto jedynie, by być w ich rzędzie ostatnimi. A choć to poślednie miejsce nie było takiem z naszej winy, to jedak zawsze brała chętka doganiania przodującego Zachodu; — chętka nieraz niewczesna, bo nikt sztuki przeskoczenia czasu nie dokona, a jeśli będzie to chciał tobić, to tylko sobie zaszkodzi. Podobnie i my, goniąc Zachód, przyśpieszaliśmy nieraz bieg własnej ewolucji, nieopatrznie zaprowadzając u siebie instytucje Zachodu, nieodpowiednie dla nas, czy też gwałtem podciągając się pod inny poziom, ogarnięci niemądrą chęcią udawania starszych, niż jesteśmy. Stawaliśmy się, jak mówił Słowacki, „pawiem i papugą narodów".

A tymczasem w Słowiańszczyźnie jesteśmy pierwsi. Tu nie my, ale na nas patrzą z podziwem i na nas się wzorują. I jeżeli chcemy czuć

się naprawdę mocarstwowo, to niema na to chyba lepszego środka, jak porównać się z naszemi cywilizacyjno-historycznemi równolatkami i zestawić ich dziejowy dorobek z naszym.

Zobaczymy wtedy odwrotną stronę medalu i pocieszymy się, że choć kultura nasza nie dorównywa francuskiej, czy choćby niemieckiej, to jednak o wiele przewyższa czeską, nie mówiąc już o innych, a biorąc Słowiańszczyznę historycznie z jej „międzysłowianami", przewyższa nawet tę jedyną, która nieomal dorównywa naszej — to jest węgierską.

Pamiętając tylko o Zachodzie, o jego mocnych państwach, wzorowej monarchji francuskiej i wzorowym parlamentaryzmie angielskim, przykładaliśmy do wszystkich spraw naszych nazbyt surowe kryterjum, wstydziliśmy się naszej niewoli i biczowali za brak zdolności państwowych, — a tymczasem, rozejrzawszy się po Słowiańszczyźnie, przekonywamy się, że z jej państw, państwo nasze upadło ostatnie, wzbiło się na najwyższy poziom potęgi i najdłużej na nim utrzymało, świadcząc widomie o naszych zdolnościach państwowotwórczych. A cóż mówić o literaturze, sztuce, filozofji...—wszędzie dojdziemy do podobnych wniosków.

A i rola, jaką odegraliśmy w tym świecie, też jest wielka i zaszczytna. Jesteśmy dla Słowiańszczyzny tem, czem Francja dla świata, analogja naszej roli historycznej jest tu całkiem wyraźna i wybitna. Nasz wpływ kulturalny, od czasów jagiellońskich, kiedy zdobyliśmy sobie przodujące w Słowiańszczyźnie stanowisko, stale rósł i potężniał; choć pod urokiem panslawizmu i Rosji przywiądł nieco w ostatniem stuleciu — to jednak nigdy nie upadł i nie zagasł. Nić polska ogarnia cały świat słowiański; i Czechy, których odrodzenie czerpało tyle z polskich poetów i których słownik Jungmanowski jest echem Lindego, i Chorwację, gdzie Gundulić opiewał Władysława IV, i Bułgarję, gdzie działał Sadyk-pasza i gdzie bez Mickiewicza nie byłoby „krwawej pieśni" Sławejkowa, i tembardziej wszystkie inne, słabsze indywidualnie narody; a nasze niegdyś Ukraina i Litwa przecież są całe poprostu przesycone polską kulturą i polskim sposobem myślenia.

A i „międzysłowianie" ulegli naszym wpływom, i na nich także działał potężny czar naszej kultury. Silniej na słabszych i często zależnych politycznie Rumunów, gdzie logafet Costin, rodzina Hażden, wszyscy polsko-rumuńsko-ruscy Mohiłowie, z wielkim Piotrem na czele, są tego przykładem — słabiej na samodzielniejsze Węgry, gdzie jednak także mamy renesans „z polskiem zakończeniem" i gdzie pierwsze druki węgierskie ukazywały się w Krakowie.

Dobrze o tem wszystkiem sobie przypomnieć i pamiętać, że choć ostatni w rzędzie zachodnich, powiedzmy lepiej po-rzymskich narodów, jesteśmy jednak pierwszymi w Słowiańszczyźnie, a to pierwszeństwo daje nam wyjątkowe stanowisko moralne i pozwala, mimo całą naszą młodszość, uważać się za jeden z wielkich zachodnich narodów; — dobrze wypełniona misja cywilizacyjna daje nam do tego najzupełniejsze prawo. Wiedząc zaś o tem wszystkiem, stańmy się z powrotem Słowianami.

KAROL STEFAN FRYCZ

STARY O MŁODYCH

(Dokończenie)

II

ZASTANAWIAJĄC się nad innemi przyczynami rozłamu, z przykrością stwierdzam fakt, że badanie ich nie należy do rzeczy łatwych.

Czytając naprzykład różne artykuły rozumowane lub enuncjacje urzędowe, trzeba przedzierać się przez gąszcz zawiłych zwrotów stylistycznych, niedomówień i domyślników, raczej zaciemniających niż wyjaśniających właściwe intencje autorów. Doprawdy wypadło mi nieraz żałować, że młodzi nasi pisarze, wywodzący swój rodowód duchowy od Romana Dmowskiego i dotychczas, pomimo rozłamu, powołujący się — nie wiem czy słusznie — na jego autorytet, nie przejęli jego nieocenionych zalet sztuki pisania w sposób jasny, prosty i w zwięzłej formie wyjaśniający bardzo skomplikowane zagadnienia. Jest to tem dziwniejsze, że jeszcze niedawno zdarzało mi się czytać na łamach prasy narodowej prace tych samych autorów, ujęte w słowa zrozumiałe i jasne. Wyciągam stąd wniosek, że obecna zawiłość ich stylu wynika chyba z obawy powiedzenia całej prawdy lub z niedostatecznego uświadomienia sobie celów, do których dążą.

Aczkolwiek moje uwagi krytyczne stosowałyby się w równej mierze do obu grup młodzieży, które z szeregów obozu narodowego wystąpiły, to jednak narazie nie będę rozważał taktyki i wystąpień publicznych Obozu Narodowo-Radykalnego. Urzędowo obóz ten, jako rozwiązany, nie istnieje, a moralnie przeszedł przez tak tragiczne wstrząsy w osobach swoich najlepszych ludzi, że proste poczucie przyzwoitości kładzie nam na usta pieczęć milczenia.

Pozostaje Związek Młodych Narodowców, ale i tym wypadku muszę się zastrzedz, że mieszkając na wsi i stojąc zdala od terenów ścierania się prądow politycznych, nie posiadam dostatecznych danych do szerokiego ujęcia zagadnienia. Nie wszystkie pisma i odezwy młodych są mi znane, więc sądy moje opieram na wrażeniach z przygodnej lektury gazet, wydawanych przez młodych, a głównie na numerze „Awangardy" za lipiec i sierpień b. r., w którym znalazły się artykuły najwybitniejszych kierowników Zw. Mł. Nar. i który, ukazując się w przełomowej chwili, po zabójstwie ministra ś. p. Bronisława Pierackiego, dawał autorom sposobność do pogłębienia wielu palących

zagadnień z dziedziny polityki wewnętrznej. Dlatego uwagi moje, wypowiedziane na wezwanie redakcji „Myśli Narodowej” nie roszczą pretensji do wszechstronnego wyczerpania tematu i są niejako próbą wywołania dyskusji w sprawie dla obozu narodowego bardzo ważnej, której — mojem zdaniem — nie należy pomijać milczeniem.

Po słowie wstępnem, pisanem pod wrażeniem dokonanej zbrodni, któremu później kilka uwag poświęcę, znajdujemy artykuł p. Ryszarda Piestrzyńskiego, którego tytuł „Charaktery” niezupełnie odpowiada treści. Albowiem autor mało tam mówi o kształceniu charakterów, ale porusza w niem mnóstwo zagadnień politycznych, społecznych, historycznych i etycznych, przeważnie nawiązanych do chwili obecnej. Skutkiem tego, z chaosu twierdzeń, chwilami z sobą sprzecznych, z trudnością można wyłowić ideję, którą autor chciałby w czyn wcielić. W szczególności nie znajdujemy tam odpowiedzi konkretnej na pytanie, do jakich celów dąży autor i w jaki sposób chce program swój realizować. Trudno krok za krokiem podążać za biegiem myśli autora, bo chcąc ją poddać szczegółowej krytyce, trzebaby napisać obszerną broszurę. Powiem więc w ogólnym zarysie, że głównym motywem jego rozumowań jest przeciwstawienie starego, „ginącego świata” nowemu. Przytem stary świat wychodzi na tem porównaniu jaknajgorzej. Pan Piestrzyński w swojej charakterystyce nie szczędzi mu dosadnych określeń, nawet, gdy idzie o pojęcia współczesne i o ludzi jeszcze niedawno blisko z autorem związanych.

Pisze więc o „starych, wypaczonych ruchach”, zamieniających się w kliki lub klany, o zwyrodnieniu opozycji, „na której można robić d o b r e i n t e r e s y” (?), o dążeniach z przed trzydziestu lat, „które nie mogą być motorem akcji politycznej i nie są dziś wyrazem bezinteresownych potrzeb narodu”, o świecie przedwojennym, „umiejącym tylko lamentować nad tem, co się dzieje i irytować się na młodych, którzy w nowym świecie chcą żyć, pracować i tworzyć”, o jakichś, widocz nie znanych mu, mamutach, nie rozumiejących „istoty państwa, które wciąż dla nich jest obcem, a niepodległość wyobrażali sobie, jako zdobycie pełnej wolności o s o b i s t e j”. Od tych ludzi ubiegłego stulecia, których umysły „są przeżarte pojęciami liberalno-demokratycznemi”, niczego już — zdaniem autora — oczekiwać nie można i trzeba ich uprzątnąć „jak stare zabytki, nieraz bardzo szanowne, lecz o wartości czysto muzealnej”. Dlatego „do obowiązków młodych należy przeciwstawić się wszystkiemu, co jest z m u r s z a ł e, tworzyć natomiast życie nowe i reagować przedewszystkiem na to, co jest aktualne”.

Zwolennicy przebrzmiałych haseł i tradycyj liberalnych starają się jeszcze utrzymać na powierzchni życia, a ufni w „liczbę” i w „popularność” nie chcą „oprzeć się prądowi, który idzie od dołu i na którym można łatwo i bez trudności płynąć wśród ogólnych oklasków z w i e ń c e m m ę c z e n n i k a n a s k r o n i a c h”. Nie wiem kogo autor miał na myśli, ale to wiem napewno, że pisząc w lipcu 1934 roku, a więc w chwili istnienia obozów izolacyjnych, powinien był oszczędzić młodym czytelnikom niewczesnych drwin z męczeńskiego wieńca. Jeżeli jednak ci starzy, nietylko z ubiegłego stulecia, ale i przedwojenni, a nawet przedmajowi „dochodzili do tego drogą niezawsze godziwą” i zdobywali sobie tak zwaną popularność metodami takiemi, jak „najordynarniejsza demagogja, bezczelne oszukiwanie mas i bałamucenie ludzi na prawo i lewo”, to za to dziś możemy już być spokojni o przyszłość, bo, jak zapewnia autor, „również w Polsce wyszliśmy już na szczęście z pod dyktatury liczby, że j a k o ś ć m a u n a s r ó w n i e ż m o ż n o ś ć z d o b y c i a s o b i e p r a w a o b y w a t e l s t w a”. Słowa te są ze strony autora dość cennem wyznaniem, uchylają bowiem rąbek jego ustrojowych dążeń, ale jednocześnie stwierdzają głęboki rozłam pomiędzy poglądami starego i młodego pokolenia.

Istotnie, zacofańcy przedwojenni nie entuzjazmują się nowemi czasami, które łudząco przypominają im obyczaje, opisywane przez Mickiewicza w kraju, gdzie można było być naprzemian „wódczanym poborcą, basem w orkiestrze tudzież szkół dozorcą”.

Natomiast p. Piestrzyński w piśmie, przeznaczonem dla młodzieży, nie waha się stwierdzić, że dopiero teraz zasługa dochodzi do głosu, bo ona — że użyjemy słów Zagłoby — „jako w oleum przyrodzenie mając, na wierzch wypływa, sądu się nie lęka i światła nie wzdraga”. Z wyjątkiem tego ustępu, pozwalającego nam domyślać się, po której stronie są sympatje autora, nie mogliśmy odszukać innych, bardziej pozytywnych wskazań, dających odpowiedź na pytanie, co ma czynić i tworzyć Związek Młodych Narodowców, gdy się otrząśnie z hypnozy „przestarzałych haseł i przesądów”.

Będą to oczywiście jakieś działania odmienne od dotychczasowych, co autor z naciskiem podkreśla, nadużywając niewiele mówiącego przymiotnika „nowy”. Skutkiem tego wywody autora obfitują w zdania takie, jak np., „że nowe czasy wymagają nowych sił, nowych metod działania, nowej organizacji”, a dalej: „nowa akcja, nowe potrzeby, nowy interes powszechny, nowe drogi rozwoju” i wiele innych nowości, których już nie wymieniam, aby nie nużyć uwagi czytelnika. W jakim kierunku płynąć będą te nowe fale, tego niestety autor nie precyzuje. Jedynie wzmianka, że „nowe życie powinno się dokonywać w oparciu o przeszłość, jako nowa kontynuacja tego, co już było zrobione”, pozwala nam wnioskować, że p. P. w tym chaosie nowości robi jednak pewne rozróżnienia i nie wszystko, co nowe, uważa za dobre.

Bez tego ukłonu w stronę przeszłości nie bylibyśmy pewni, czy bolszewizm, jako idea niewątpliwie nowa, nie cieszy się także sympatją autora lub czy nowe metody Hitlera w mordowaniu swoich kolegów nie zyskują jego aprobaty. Wielka szkoda, że p. P. poprzestał na ogólnikach w tej bardzo istotnej i ważnej sprawie nowego programu działania młodych. Gdyby nie był uprzedzony do ludzi starszych, to wiele cennych uwag na temat ducha nowych czasów znalazłby w dziełach człowieka, którego chyba sam nie zalicza do grona „reprezentującego reakcję ginącego świata”, mianowicie w pismach Romana Dmowskiego, który już dziesięć lat temu nietylko przepowiedział nowe czasy, ale je bliżej określił, analizując, co w nich jest dobrego, a co złego. Dmowski na wiele nowości zapatruje się krytycznie, czego najlepszym dowodem są jego ostatnie artykuły o militaryzacji polityki, w których nie wahał się napiętnować najnowszego przewrotu w Niemczech, jako dzieła, urągającego zasadom cywilizacji.

Przeglądając następne artykuły ostatniego numeru „Awangardy” znajdujemy czasem poglądy

sprzeczne z twierdzeniami p. Piestrzyńskiego, co świadczy o pewnym zamęcie programowym nawet wśród przywódców. Naprzykład, gdy p. P., w obawie przed prześladującą go zmorą „popularności", domaga się od przewodnictwa politycznego „przedewszystkiem zdolności narzucania masom swojej woli, zapatrywań, poglądów, by umiało ono wskazywać pozytywne drogi wyjścia, by istotnie kierowało, a nie było kierowane", to parę stronic dalej p. Z. Sadkowski daje wyraz słusznemu — naszem zdaniem — poglądowi, że „państwo narodowe opiera swą egzystencję na aktywności narodu i władza w niem nie jest narodowi narzucona, lecz wypływa z woli i instynktów mas".

W kronice politycznej i w rubryce „Głosy" natrafiamy na pewien, znów zbyt ogólnikowy zarys programu w postaci „ostatecznego zerwania z negacją, a wejścia na drogę pozytywnego ustosunkowania się do rzeczywistości polskiej", pozatem w szeregu informacyj, zaczerpniętych z pism prorządowych, jak: „Gazeta Polska", „Kurjer Poranny", „Czas", „Ruch Młodych", „Przegląd Polski", o których redakcja „Awangardy" albo nie wypowiada swego zdania, albo polemizuje z niemi w sposób kurtuazyjny i niemal przyjacielski. Gdyby mi wypadło streścić w formie najkrótszej osobiste wrażenia z przeglądu tych działów, to uzmysłowiłbym je w symbolu wyciągniętej przyjaźnie, lecz zawisłej w powietrzu ręki. Ale to tylko wrażenie. Tymczasem, gdy już straciliśmy nadzieję dotarcia do źródeł prawdy, t. j. do poznania istotnych dróg i celów Związku Młodych Narodowców, nagle wydaje nam się przez chwilę, że błyska przed nami światło,rozpraszające otaczające nas ciemności. Bo oto w rubryce „Nasz Ruch" znajdujemy obszerne sprawodanie z przeglądu sił Związku pow. szamotulskiego, odbytego we Wronkach, ze zwykłym w tych uroczystościach ceremonjałem w postaci: nabożeństwa, poświęcenia proporców, defilady i zgromadzenia publicznego, zakończonego — powiedzmy nawiasem — okrzykiem na cześć „Polski narodowej i duchowego przywódcy naszego ruchu Romana Dmowskiego".

Teraz już nie wątpimy, że gdzie, jak gdzie, ale w przemówieniu programowem pana profesora Zygmunta Wojciechowskiego znajdziemy rozwiązanie dręczącej nas zagadki. Niestety, doznajemy zawodu. Powiedzmy odrazu, zawodu bardzo skądinąd miłego, bo świadczącego o tem, jak silne są węzły, łączące członków dawnego obozu narodowego skoro nawet ludzie, których drogi oficjalnie się rozeszły, nie przestają czuć i myśleć jednakowo. Albowiem pod tezami, wygłoszonemi przez prof. Wojciechowskiego, mógłby się śmiało podpisać — z nader drobnemi zastrzeżeniami — najprawowierniejszy endek współczesny czy nawet przedwojenny.

Prof., W. zaznaczywszy na wstępie potrzebę jedności w narodzie i skreśliwszy pobieżnie przebieg rozwoju ruchów narodowych w Europie, powołuje się na twórcę Obozu Wielkiej Polski, Dmowskiego, który tworzył go nie jako stronnictwo, lecz jako organizację narodu. Wywodząc swój rodowód z Ob. W. Polski, Związek Młod. Narodowców chce nadal służyć idei Wielkiej Polski przez wysunięcie na czoło tego, co naród łączy, a zwalczanie wszystkiego, co naród rozbija. Do tego potrzebna jest silna władza, „oparta i wyprowadzająca się ze zorganizowanego narodu".

Najciekawsza jest konkluzja przemówienia, gdy pan profesor wylicza prądy, które Zw. Mł. Nar. zwalczać będzie, mówiąc: „Zwalczamy zatem rozbijanie rodziny, bo rodzina jest zasadniczą podstawą ustroju narodowego. Zwalczamy tych, co walczą z Kościołem, ponieważ religja katolicka naród łączy, a nie dzieli. Zwalczamy żydów, ponieważ istnienie 4-miljonowej masy żydów nie da się pogodzić z organicznie pojętą jednością narodową" i kończy okrzykiem: „Niech żyje tradycja Obozu Wielkie Polski, przechowana w Zw. Mł. Nar."

Słowem, wszystko tak, jak dawniej. I pomimo pewnej luki w tem zakończenin, to jest pominięcia walki w obronie prawa, jako głównej podstawy ładu społecznego, musimy przyznać panu Wojciechowskiemu, że trafił w samo sedno sprawy.

Tak, niewątpliwie istota rzeczy tkwi w tej walce dwóch światów duchowych, dwóch prądów społecznych i dwóch wierzeń. Jedne, stawiające rozwój i potęgę narodu ponad wszelkie inne ideały; oparte mocno na rodzinie i religji, a w imię czystości rasowej i duchowej narodu, dążące do usunięcia szkodliwych, obcych nalotów; drugie, mające swe źródło w międzynarodowych ruchach przewrotowych, dążące do osłabienia rodziny przez świadome macierzyństwo, wolną miłość, demoralizację młodzieży i t. p., zwalczające Kościół i ograniczające wpływ duchowieństwa na masy, wreszcie ułatwiające żydom przenikanie we wszystkie komórki społeczne i rozluźnianie więzi narodowej swemi rozkładowemi wpływami. Ale w świetle tych zmagań znowu staje przed nami pytanie, kogo zwalcza, a kogo popiera Zw. Mł. Nar.? Bo jeśli pan profesor w zakończeniu swego przemówienia staje po jednej stronie barykady, to wiele znaków na ziemi i niebie wskazuje, że jego koledzy polityczni nie są przeciwni pewnym układom z tymi, co stoją po drugiej stronie. Może pcha ich w tym kierunku zapał do rzeczy nowych, podczas gdy walka z wywrotowemi hasłami jest stara i oddawna w czyn wcielana przez obóz narodowy, niemal od chwili powstania Ligi Narodowej, co chyba potwierdzi profesor W., zbierający materjały do historji Ligi.

Tylko, jeśli mamy wierzyć panu profesorowi, to pragnęlibyśmy w interesie czystości atmosfery politycznej wiedzieć, czy prawdy, przezeń głoszone, obowiązują zarówno na uroczystościach szamotulskich, jak i w urzędowych enuncjacjach Związku. Innemi słowy, chcemy usłyszeć wyraźne oświadczenie, z kim Związek zawiera sojusze i czy naprawdę jest gotów kontynuować politykę przywódcy, na którego cześć wznosi głośne okrzyki.

Stosunek pomiędzy ludźmi, których niedawno jeszcze łączyły węzły wspólnej idei i wspólnego celu, obowiązuje przedewszystkiem do szczerości. Przemilczanie drażliwych spraw, wprowadzając szkodliwą dezorjentację opinji publicznej, ubliżałoby nadto naszej godności.

W imię tej godności nie można dłużej utrzymywać paradoksalnej sytuacji, w której tworzy się sielanki na świeżem powietrzu, prowadząc jednocześnie podjazdowe walki przy redakcyjnych biurkach. Nie można choćby i z tego względu, że walki te zatracają często charakter ideowy, a przenoszą się na grunt osobistych zarzutów, przytyków i niedomówień, skierowanych do niedawnych kolegów i przyjaciół. Oto np. w artykule wstępnym „Awangardy" p. t. „Następstwa zbrodni", nie-

stety nie podpisanym, czytamy: „a w kilka dni potem szereg młodych ludzi, będąch głęboko przekonanymi o swych narodowych instynktach, szło do więzienia. Padali przeważnie ofiarą obałamucenia, zbyt prostolinijnego i zbyt naiwnego, narzuconego im zresztą, sposobu myślenia, ofiarą braku zmysłu odpowiedzialności, który wyrażał się w głoszeniu nieraz haseł nierealnych i szkodliwych. W ten sposób wszakże poważny zasób sił, które stanowić winny jedną z podpór ustroju narodowo-państwowego, został zmarnowany i sparaliżowany, coprawda w dużym stopniu wskutek własnych błędów i fałszywego nastawienia politycznego. I to jest właśnie zło, które należy wyplenić". W zacytowanych wyżej ustępach uderzają nas w sposób wprost rewelacyjny trzy zupełnie nowe cechy, tak dalece obce psychice i uczuciom młodzieży, że nie możemy uwierzyć, aby autorem artykułu mógł być człowiek młody. Mianowicie: trzeźwość, ostrożność i nieszczerość.

Trzeźwość — bo, gdy mowa o marnowaniu sił, to nam starym przypominają się ubolewania ludzi praktycznych nad każdym żywszym odruchem młodzieży. Był to niewyczerpany temat do utyskiwań dla przedwojennych ugodowców, więc jakże się nie dziwić, gdy spadkobiercami tych trzeźwych poglądów są dzisiejsi młodzi. Ostrożność — bo chyba tylko obawa własnego cienia podyktowała autorowi unikanie nawet nazwy więzienia i pominięcie okoliczności, jakie temu faktowi towarzyszyły. Czyżby mniemał, że to jest jakieś operetkowe więzienie, coś w rodzaju „Zemsty Nietoperza", gdzie więźniowie bawią się znakomicie, czyniąc różne psoty dyrektorowi? Może dlatego uważa on, że niema się czem zbytnio przejmować, tembardziej, że młodzi więźniowie ostatecznie sami sobie winni.

A gdy czytam w „Awangardzie" wyliczenie tych win, to sądzę, że autor nie mógł szczerze wierzyć w to, co pisał. Bo chyba jego niedawni towarzysze broni nie mogli w ciągu paru miesięcy, dzielących ich od rozłamu, nagromadzić takiego ogromu win i błędów, któreby nawet w oczach rówieśników usprawiedliwiały poniesioną przez nich karę. Przyznaję, że po przeczytaniu oskarżeń i zarzutów, rejestrowanych w bratnim organie młodzieży, w chwili tak pełnej tragizmu — osłupiałem. Jako człowiek stary wiele na świecie doświadczyłem, wiele słabości ludzkich mogę wyrozumieć i wielu rzeczom przestałem się dziwić, ale to oskarżenie na zimno pobiło w moich oczach wszelkie rekordy niezwykłości.

Dlatego uważam za rzecz pilną, aby podobne rozmowy odbywały się w atmosferze, nie pozostawiającej wątpliwości, kto z kim i w czyjem imieniu mówi.

MARJAN KINIORSKI

KOBIETA W SPOŁECZEŃSTWIE

SPRAWA kobieca, aczkolwiek teoretycznie pomyślnie rozstrzygnięta, weszła w nową i niebezpieczną fazę. Dziś nie chodzi o prawa kobiet, o równość ich inteligencji i t. d., lecz o zagadnienie pracy kobiet.

W okresie wojennym kobiety udowodniły, że mogą sprostać t. zw. zajęciom męskim, to też już nie chodzi o to, czy one te prace pełnić mogą, lecz czy powinny. Jest to wynikiem przeżywanego kryzysu, braku pracy we wszystkich dziedzinach i wzrastającej wciąż konkurencji. Podniesiony też został zarzut, że praca kobiet jest jedną z przyczyn wzrastającego bezrobocia.

P. Charles Nicolle w *„Mercure de France"* (z dn. 1.I.34 r.) rozważa sprawę pracy kobiet z punktu widzenia biologicznego i dobra społecznego. Stawia on pytanie, czy jedna z form kryzysu nie polega na złej interpretacji roli, jaką kobieta ma do wypełnienia w społeczeństwie.

Wszędzie dziś w społeczeństwach mamy chaos i brak równowagi, co zostało, zdaniem autora, spowodowane przez nadmierną ingerencję do praw biologicznych, gdy tymczasem rola jej powinna polegać jedynie na miarkowaniu i korygowaniu.

Społeczeństwa składają się z par, a te z jednostek różnych i niepodobnych do siebie. Odmienność płci jest uwarunkowana odmienną anatomją ciała i odmiennością mózgu. Autor nie uznaje wyższości czy niższości osobników, lecz podkreśla ich odmienność. Ta odmienność biologiczna pociąga sobą różnorodność zadań, jakie mają do wypełnienia w społeczeństwie kobieta i mężczyzna. Najjaśniej to występuje w pierwotnych społeczeństwach, gdzie rola mężczyzny polega na pracy nazewnątrz, która wymaga siły, na dostarczaniu pożywienia, ubrania, a rola kobiety na pracy koło domowego ogniska.

Taki stan uważa Nicolle za stan równowagi społecznej, jedynie odpowiedni dla szczęścia ludzkości. Przyznaje coprawda, że z tego układu w ciągu wieków powstała zależność kobiet i nawet niewola, co było niesprawiedliwością. Tę niesprawiedliwość chce naprawić, kobiecie pragnie przyznać prawa polityczne i cywilne, prawa kształcenia się, lecz zarazem zachować rozdział funkcyj społecznych w ten sposób, by kobieta wróciła do ogniska domowego i poświęciła się macierzyństwu i gospodarstwu. Będzie to powrotem do równowagi biologicznej, wyjściem z chaosu i zapewni normalny rozwój społeczeństwom.

Zaden naród nie może istnieć, który zdezorganizuje macierzyństwo, żadna reforma nie uratuje narodów cywilizowanych, jeżeli każda płeć nie zajmie właściwego miejsca, — twierdzi Nicolle i ma bezwarunkową słuszność w swych końcowych wnioskach, tylko rozstrzyganie zagadnień społecznych jest bardzo skomplikowane i trudne. Tak samo rzecz się ma z zagadnieniem pracy kobiet zamężnych. Sprawa jest poważna, bo chodzi o wprowadzenie ustawy, o zastosowanie przymusu. Istnieje dziś wszędzie wyraźna tendencja do usuwania kobiety zamężnej od pracy zawodowej. Przedewszystkiem działa tu przyczyna ekonomiczna, dążenie do zmniejszenia konkurencji na rynku pracy.

Np. w Niemczech, gdzie przed wojną chętnie określano, według słów cesarza, rolę kobiety przez 4 k *(Kinder, Küche, Kirche, Kleider)*, po wojnie przyznano kobietom prawo wyboru i wybieralności, a § 128 konstytucji Wejmarskiej zniósł wszelkie ograniczenia dla pracy kobiet, jednakże już

w maju i czerwcu 1932 r. przywrócono tu pewne ograniczenia: kobieta może być zwolniona z zajmowanego stanowiska, o ile jej sytuacja ekonomiczna jest zapewniona na stałe, jeżeli zarobek męża jest wystarczający. W okresie Hitlera to ograniczenie zostało rozszerzone na dziedzinę handlu i przemysłu. Rozporządzenie to zostało zastosowane z taką energją, że aż władze centralne uznały za potrzebne wystąpić z interwencją. Okólnik min. spr. wewn. postanowił, że przy równowartościowych kandydatach należy wybierać mężczyznę, tylko w niektórych dziedzinach jest uznana za bardziej pożądaną praca kobiet (np. w zakresie opieki społecznej i opieki nad młodzieżą i w pewnych rodzajach szkolnictwa), dalej stenotypistki i daktylografki są bardziej pożądane od swych męskich kolegów.

W Austrji w ub. roku w szkolnictwie zostały zwolnione z zajmowanych posad wszystkie kobiety zamężne, o ile zarobek ich mężów wynosił 300 szylingów mies. i wzwyż. Te zarządzenia są wywołane tylko przyczynami ekonomicznemi. Są wyrazem (dość nieporadnych zresztą) prób zwalczania kryzysu i bezrobocia.

Uczony francuski ujmuje sprawę szerzej i głębiej, wychodzi z innego założenia: jemu chodzi o dobro społeczne, o rodzinę, o przyszłość rozwoju ludzkiego. Jego postalaty nie mają charakteru przejściowego i dlatego wymagają wszechstronniejszego rozpatrzenia.

Rola kobiet zamężnych, to praca w rodzinie — przy ognisku domowem. Nie wolno im pracować zawodowo. Dobrze, lecz jakąż wobec tego rozrzutnością czasu, energji i pieniędzy byłoby kształcenie i przygotowywanie się kobiet do zawodów, skoro miałyby korzystać z tego bezwzględnie tylko do zamążpójścia, więc w przeciągu 2 — 3 lat mniej-więcej. A przygotowywać się do samodzielnego zdobywania życia muszą, bo nie można przecież zgóry określić, która wyjdzie zamąż. Praca zarobkowa kobiety zamężnej stanowi zabezpieczenie rodziny na wypadek jakiegoś nieszczęśliwego wypadku, choroby lub śmierci męża i odgrywa rolę dawnych posagów, których dziś niema, a o możności zaoszczędzenia zabezpieczenia dla rodziny dziś (poza pewnymi wyjątkami) marzyć nie można.

Obopólna praca umożliwia zawieranie wczesnych małżeństw, co ze względów społecznych jest bardzo pożądane.

Główną przeszkodą w wykonywaniu pracy zawodowej przez kobietę zamężną stanowi macierzyństwo, bo gospodarstwo przy technicznych środkach wielkomiejskich, wciąż się udoskonalających, może przeszkodą nie być.

Czyż nie spotykamy dobrze zorganizowanych domów, sprawnie, z ładem i harmonją funkcjonujących gospodarstw, choć kobieta pracuje pewną część dnia poza domem i odwrotnie, bezładu i chaosu, pomimo faktycznej lub pozornej obecności owej kapłanki domowego ogniska?

Praca zawodowa wyrabia systematyczność, punktualność, uczy poszanowania czasu i organizowania go, daje lepszą perspektywę życiową w stosunku do drobiazgów. Lepszą towarzyszką mężczyzny, lepiej go rozumiejącą, może być kobieta, która pracując sama, lepiej oceni wartość tej pracy.

Pozostają dzieci, tu matka jest niezastąpiona, lecz zawsze przecież było i jest obecnie, że, jeżeli tylko warunki na to pozwalają, kobieta przerywa pracę zarobkową i naukową, i artystyczną nawet, i oddaje się dzieciom. Tylko czy to ma trwać do pełnoletności najmłodszego dziecka? Przecież opieka państwowa wymaga w dzisiejszym ustroju szkolnictwa oddania dziecka do szkoły od 7-go roku życia. Dlaczego wtedy kobieta nie może powrócić do pracy zawodowej?

Nie tyle ciągła obecność w domu czyni dobrą wychowawczynią i matką, ile rozumienie życia, doświadczenie i wartość moralna.

Kobieta, dając życie przyszłym pokoleniom, ponosząc trudy macierzyństwa, ma być za to pozbawiona całkowicie wolności wyboru swej pracy? A są przecież zawody twórcze, z któremi zerwanie będzie stanowiło tragedję. Tęsknota za niemi stanie się źródłem niezadowolenia i udręki życiowej. Poczucie niespożytkowanych sił jest bardzo ujemnym czynnikiem dla ducha ludzkiego.

Są dalej zawody, gdzie doskonałość wypełniania zależy od jednostki i ktoś inny takich walorów już nie da — np. pedagogja, medycyna.

Jeżeli przytem inteligencja kobiet nie jest niższa od męskiej, a tylko inna, czy jest słuszne i zgodne z dobrem społecznem usuwanie kobiet od tworzenia kultury? A trudno mieć nadzieję, by i inteligencja i siły twórcze stały się monopolem kobiet niezamężnych.

Kobieta zamężna powinna mieć wolność wyboru cofnięcia się od pracy zawodowej, jeżeli dobro rodziny tego od niej wymaga i powinna mieć możność powrotu do tej pracy, jeżeli to uczynić może. Nie praca zawodowa kobiet rozbija dzisiaj rodzinę, a upadek i rozprzężenie moralne. Ilość rozwodów, dzieci o dwóch parach rodziców, odstępstwo od wiary dla celów utylitarnych, niekiedy aż trzy wyznania religijne w jednej rodzinie, oto, niestety, dość częste zjawiska obecnej doby, a nie są one wynikiem pracy zawodowej kobiet, ale egoistycznego, materjalistycznego i lekkomyślnego ujmowania życia.

Zwrot do dawnych ideałów moralnych i religijnych, postawienie jako celu życiowego spełnienia obowiązku, a nie użycia życia, i to dla obu płci, będzie skuteczniejszym środkiem ratowania rodziny od rozbicia, niż wszelkie, formalne tylko, rozstrzygnięcia ustawowe.

Ustawa, usuwająca kobietę zamężną od pracy zawodowej, osłabia motyw idealizmu w pracy i nadaje jej charakter wyłącznie materjalny. Prawdopodobnie odbiłaby się niekorzystnie na kształceniu się kobiet, odwróciłaby kobiety od zawodów, wymagających dłuższego i gruntownego przygotowania, a wywołałaby tendencję do pośpiechu i powierzchowności, mogłaby też odstręczać jednostki zdolniejsze i energiczniejsze od zawierania związków małżeńskich, co z punktu widzenia eugeniki nie byłoby pożądane, bo synowie nie dziedziczą cech wyłącznie po ojcach.

Słyszałam, że w Rumunji, po przejściu takiej ustawy, kobiety zaczęły się gromadnie podawać do rozwodu, — a widocznie było dość powodów do rozwodów w małżeństwach rumuńskich, bo, podobno, wywarło to wpływ na prawodawcę.

JUSTYNA JASTRZĘBSKA

ZE STUDJÓW NAD NORWIDEM: XIV

KOMPLEKS DWUŚWIATOWOŚCI

NIEMA mowy o zżyciu się z poetą, dopokąd nie odnajdziemy punktów, z których on na świat patrzy. Gdym po raz pierwszy wczytał się w Norwida, uczułem niepokój, że idę w gąszcz bez żadnego sposobu orjentowania się w pozycji. Skąd takie dziwne oświetlenie, gdzie słońce? Uderzył mnie często powtarzający się motyw ziemi i nieba; i dopiero wtedy zacząłem się orjentować, że Norwid ma sam kłopot, skąd na świat spozierać. Jedne rzeczy są wskroś realistyczne, inne są tylko „stygmatami" czegoś, co jest dla autora realne gdzieindziej — w świecie idej. Poeta widzi jednocześnie dwa światy: rzeczywistości przyrodzonej i nadrzeczywistości duchowej, z której wszystko pochodzi.

1. Sprawa istnienia tych dwóch światów i stosunku ich do siebie narzuca się człowiekowi, poczynając od barbarzyńcy, kończąc na filozofie metafizyku. Skala rozwiązań tego zagadnienia jest ogromna. Człowiek prosty i poeta, który, w pewnem znaczeniu, jest człowiekiem pierwotnym, dochodzącym prawdy zmysłowo, staje tutaj wobec schematu: z i e m i a i n i e b o. Norwida przez całe życie zagadnienie to niepokoiło, rozwiązywał je wespół z filozofami i teologami; nagrodą ciężkiego życia było, że tutaj docierało jego poznawanie, jako do trwałego gruntu, dającego pewność; a jednak jako poeta nie mógł inaczej tego stosunku przedstawić, jeno w postaci kosmicznej: niebo i ziemia.

W jednym z najpierwszych swoich wierszy p. t. „Sieroty" Norwid mówi o sobie:

„Ja zaś jakoś niechcący ku niebu spojrzałem,
A niebo było gwiaździste...
Potem, gdy dusza swego skosztowała chleba,
Nie mogłem się już więcej oderwać od nieba,
Które mnie wciąż ciągnęło silnem, wonnem tchnieniem".

Po paru dziesiątkach lat w wierszyku „Niebo i ziemia" tak motywuje swoje zainteresowanie niebem. Ludzie trzeźwi (realiści) powiadają mu:

„— Rzeczywistym bądź! Co ci się wciąż o niebie troi,
Podczas, gdy grób prądami nieustannemi
Kości twoich, prochów twych pożąda".

A poeta odpowiada:

„— Oh, tak! Wszelako, gdziekolwiek człowiek stoi,
O wielekroć więcej niebios ogląda,
Niżeli ziemi..."

Oczywiście, nie o widok świata fizycznego chodzi; użyty on jest jako przenośnia, i do tego popularna, wzięta z wyobrażeń religijnych. Schemat dostępny każdemu mazurowi ze wsi. Tędy przez wierzenia ludu szedł Norwid do koncepcyj filozoficznych. Głęboko tkwiący pierwiastek uczuć i wyobrażeń relijnych był podstawą tego kąta widzenia, który poeta na świat nastawił.

2. Chodzi wszakże o to, w jaki sposób wyobrażenie w tej postaci stało się motywem tak uporczywym twórczości poetyckiej Norwida. Wyobraźnia musi być poruszona jakimś bodźcem ze strony motywu, aby artysta czuł potrzebę utrwalenia go w dziele sztuki. Obraz „niebo - ziemia" leży w tle wszystkiego, co jest widomym światem człowieka i dla zmysłów, w tem ogólnem ujęciu, stanowi abstrakcję. Żywioły stają się przedmiotem sztuki w pewnych postaciach konkretnych, ale nie w charakterze pojęć oderwanych. Norwidowi nieodparcie narzuca się przeciwstawnia i współdziałanie światów m y ś l a n y c h, nie zaś widzianych; motyw właściwy jest filozoficzny.

Zaraz na początku swych uwag o Norwidzie zatrzymałem się dłużej na tezie, którą postawiłem pod pierwszem wrażeniem jego manjery, że ten motyw zapadł w duszę poety wskutek wstrząsu, jaki wywołały w jego umyśle odkrycia filozofji idealistycznej. Posiew tej metafizyki padł na grunt podatny. Norwid od młodości miał skłonność do dwutorowości, jak to wyżej wykazałem. Teorja ta przypadła swoim dualizmem do jego struktury duchowej, słabo ugruntowanej biologicznie i mającej dziwną skłonność wytwarzania dwutorowych szlaków myślenia i postępowania. Rzeczywistość, jak widzieliśmy, do niczego nie obowiązywała go w życiu; dla niego rzeczywistością było to, co sobie wytworzył lub uroił. Jego „książęcość", jego stopa życiowa, salony — to wszystko było fikcją, ale on ją realizował. Czynił najazd na rzeczywistość, obowiązywało go bowiem nie to, co b y ł o, ale to, co według niego b y ć p o w i n n o.

Otóż na to tło psychiczne padł deseń wielkiej konstrukcji myślowej w stylu Kanta: rzeczywistością nie to jest, co jest, ale co rozum ludzki z tego zrobi, rozum aprioryczny. Tutaj zaszedł ów moment „porażenia filozoficznego", jak to określiłem przy sposobności. Wtedy powstał kompleks psychiczny, górujący u Norwida: „niebo i ziemia".

Czemże jest duch człowieka, pnącego się stromemi drogami wyobraźni religijnej, poetyckiej, filozoficznej ku zdobyciu prawdy, jak nie poszukiwaniem na świecie miejsca dla swej jaźni? Poeta uchodził w czasach Norwida za bliźniaka filozofa, ale przecież droga jego nie była tylko spekulacją intelektualną; on prawdę zdobywał wizjonerstwem zmysłów. Norwid podążał za filozofami, co i jego błąkało i nas dotąd w błąd wprowadza, gdy go bierzemy za filozofa i naukę metafizyki z poezyj jego wykrawamy. To nie były jego wywody poznawcze, to były przygody psychiczne na ciężkich drogach romantyzmu, przygody, których ślady pozostawił nam w wizjach poetyckich.

Trentowski rozróżniał dwa typy jaźni: jedną, wyprowadzoną doświadczalnie z przeżyć zmysłowych, drugą — metafizyczną. Tak mi się wydaje, że wzoru psychologicznego, według którego dałoby się określić przypadek porażenia Norwidowego, należałoby szukać w niedawno wydanym pamiętniku Wincentego Lutosławskiego, w tem miejscu, gdzie opisuje, w jaki sposób dokonał „odkrycia" swej jaźni.

Norwid odkrył swoją jaźń metafizyczną we wczesnej młodości. Umysły łaknęły wówczas objawień filozoficznych; wrażliwego Norwida porwała, według jego wyrażenia „zachwyciła" — do owego „nieba". On — w swojej wyobraźni — tam miał swoje stanowisko; stamtąd patrzał na świat. Nie zrozumie Norwida, kto tego sobie nie wyjaśni.

3. Przeczytajmy wierszyk dawnego „sieroty", który spojrzał ku niebu, jak on w wieku późniejszym zagnieździł się w „niebie":

„Nad stanami jest stanów stan,
Jako wieża, nad płaskie domy
Stercząca w chmury.

Wy myślicie, że i ja nie Pan,
Dlatego, że dom mój ruchomy
Z wielbłądziej skóry?

Przecież ja aż w nieba łonie trwam,
Gdy ono duszę mą porywa
Jak piramidę.

Przecież i ja ziemi tyle mam,
Ile jej stopa ma pokrywa,
Dopokąd idę..." („Pielgrzym").

Według mojego klucza znaczenie szarady powyższej jest takie: nad pospolitością bytów ludzkich, jak wieża nad dachami, góruje idealista, świadomy prawd wieczystych. Cóż z tego, że mój stan jest emigrancki, że nic nie mam i jestem pielgrzymem? Istnieje stan „zachwycenia". Jestem większy pan od innych, bo głową sięgam nieba, dokąd ciążę całą duszą. Wystarczy mi ziemi tyle, ile potrzeba stopie mojej, którą odbijam się od ziemi ku niebu.

Znakomity interpretator Norwida, członek Akademji Literatury, Miriam (Zenon Przesmycki) w ten sposób ten sam wiersz wyjaśnia[1]):

„Megalomanja obywatelsko-ziemiańska, oparta wyłącznie na posiadaniu ziemi, uważanie się z tego jedynie powodu za coś lepszego i dostojniejszego od innych, — wykwintnie żartobliwą, o jakimś nieuchwytnym zalocie poezji wschodu, znalazły tu odprawę. Pokrewne są ironicznością temu poemacikowi słowa „wuja Salomona" pod koniec rozdziału II w „*A Dorio ad Phrygium*". Norwid wiele obracał się w sferze ziemiańskiej i miał dla niej sporo tkliwości, związanej z umiłowaniem „wsi", lecz zarazem i twarde, satyryczne w jej ogólną prawie próżnię wnętrzną wejrzenie".

Miłośnicy N. mają do wyboru te dwa wejrzenia w jego teksty. Mnie się wydaje, że ja górniej widzę Norwida, niż szkoła, hołdująca hasłu „czystej sztuki", pomawiająca mnie zawsze o nadużywanie kryterjów społeczno - politycznych. Mnie nigdy nie przyszłoby do głowy, że Norwid mógł ironicznie wymawiać słowo „wieś" w cudzysłowie i że nie miał na emigracji w Paryżu większych zagadnień, jak dopiekanie obszarnikom, i do tego tak po mieszczańsku, iżby w ludziach wsi widział „ogólną prawie próżnię wnętrzną".

Nie można z pożytkiem czytać poety, dopóki się nie wejdzie w niego przez odnalezienie punktu, z którego on na świat patrzał. Odczytanie tekstu, jak szarady, w sposób zgadywany i kazuistyczny, ubliża poecie, który przecież cierpiał, że nie jest rozumiany.

4. Trzeba się dobrze porozumieć co do natury zjawiska, o którem mówię. Są bowiem krytycy (jak prof. St. Cywiński), którzy poczytują za insynuację, ubliżającą Norwidowi, przypuszczenie, że miał on coś wspólnego z filozofją idealistyczną niemiecką. Przeciwnie, był katolikiem i to gorliwym od początku do końca życia i sprawy ducha widział w kategorjach czysto religijnych. Nieporozumienie polega na tem, że ja mam na myśli nie system filozoficzny Norwida, lecz jego sposób poetyckiego patrzenia na świat. To jest sprawa zupełnie osobna i bynajmniej nie główną rzeczą w badaniu Norwida jest, co w tych ramach poetyckich działo się z systemami takiemi, czy innemi. Mojem zdaniem Norwid z biegiem czasu, pod wpływem Krasińskiego i Cieszkowskiego, wypełnił swoje „niebo" po katolicku Bogiem i bynajmniej nie mam zamiaru przeczyć, że był szczerze religijnym człowiekiem. Niemniej aparat poetycki świata pozostał taki, jakim go za młodu skonstruował w swej duszy pod pierwszem wrażeniem odkrycia filozoficznego. Zrazu owo „niebo" było dziedziną, wypełnioną po platońsku ideami, wobec których świat realny był tylko widmem rzeczy, znaczonych stygmatami idej. Na tło tego schematu padały zasłyszane popularne teorje, zrazu według Fichtego (charakteru etycznego), potem Schellinga (natury estetycznej) ze sztuką, jako mistrzynią prac ludzkich. Wszystko to brane było z drugiej ręki, od popularyzatorów polskich i pomimo uzgodniania z nauką katolicką nie zmieniło podstawy, a tą był obraz niemal fizyczny dwu światów, w które wplątany jest swoją duszą człowiek. W poezji Norwida decydujący jest ten obraz zmysłowy; nie schodzi on z oczu Norwida przez całe życie.

Dosyć wczytać się w „Promethidiona", aby współczuć Norwidowi w jego męce artystycznej. Motywów filozoficznych i religijnych, które wytworzyły istny zator między niebem i ziemią, nie mógł sharmonizować i w końcu pozostawił je rozsypane odłamami. Trudno w każdym razie byłoby kogoś przekonać, że wysunięcie sztuki na szczyt wieży niebotycznej, jako łącznika z niebem, jest koncepcją religijną, albo czy w duchu katolickim pomyślany jest obraz Boga:

„Na szlaku białych słońc, na tym niezmierzonym,
Co się kaskadą stworzenia wytacza
Z ogromnych Boga piersi..."

Ale to sprawa osobnych rozważań. Dla mnie ważną jest sprawa osobistego czucia się Norwida między temi światami, jego manjera patrzenia na nie, — to, że on nie na ziemi ulokował swój punkt widzenia tych światów, lecz w niebie, że „w nieba łonie trwał".

Ta okoliczność rozwiązuje wiele spornych zagadnień twórczości Norwida. Nie jest w sztuce sprawą obojętną, czy artysta patrzy na rzeczy z wysokości swego naturalnego wzrostu, idąc drogą pospołu z innymi ludźmi, czy też patrzy na świat skądś z wysoka, a tembardziej z innego świata. Dlatego tak trudno porozumieć się nam z Norwidem.

„Mapę życia gdyby kto z wysoka,
Jak mapę globu kreślił, — góry i pustynie
Przeniosłyby się w krótkie jedno mgnienie oka,
A ocean przepadłby, gdzie ledwo łza płynie".
(„Ziemia")

Nie sam system filozoficzny jest potrzebny dla zrozumienia poety, lecz to, co jakiś bodziec myślowy zrobił z jego wyobraźnią. Trzeba uważać za zwyrodnienienie romantyzmu, gdy poeta czuje się tak oderwany od świata. Norwid potrafił w miłosnem uniesieniu dochodzić do bujania kosmicznego, jakby to była rzecz potoczna zmieniać globy. W „Assuncie" mamy takie hiporboliczne sytuacje:

„Świat tak się mały stał nam, że pod stopy
Czuliśmy obrót globu... Trzeba było
Nowy, wynaleźć, przeszedłszy okopy
Rzeczywistości..."

Norwid znalazł się w niewoli swej wyobraźni poetyckiej, zmanjerowanej na punkcie widzenia siebie poza ziemią. W „Liście do W. P. Zakrzew-

[1]) „Cyprjana Norwida Poezje wybrane". Warszawa 1933. Str. 572 (Przypisy).

skiego" nic go nie kosztuje takie zestawienie się z Mickiewiczem:

„Bo jam nie deptał wszystkich mędrców i proroków,
Ale mnie huśtał wicher, ssałem u obłoków...“

5. Nie było to wyjątkowe uniesienie prometejskie na fali wzburzonej uczuć, jak w „Improwizacji" Mickiewicza; takie było codzienne poczucie dróg poetyckich — krążenie między niebem i ziemią. Był, jak się wyraził w „Ziemi", „dwuświetnym duchem, a jedną osobą".

Nie poglądy filozoficzne stanowią oryginalność Norwida, lecz to osobliwe nastawienie się jego wyobraźni w stosunku do własnej osoby, jego stan psychiczny, ów stan „zachwycenia".

Co do samopoczucia. Z jednej strony duma, że jest mu dany „stanów stan", że jest „panem", jak nikt, a przedewszystkiem poczucie pewności, że zdobył jedyną drogę prawd wiekuistych: właściwa Norwidowi skłonność do patrzenia zgóry na ludzi, zwłaszcza na twórców współczesnych, znalazła tu uzasadnienie. Natury normalne, obdarzone darem twórczym, jak już wyżej wspomiałem, zwłaszcza twórcy, którzy się znaleźli w przeciągu metafizycznym, stale poszukują dla siebie miejsca na szlakach nieskończoności; główną cechą ich wysiłków twórczych jest szukanie. Kto wie, czy owo szukanie nie jest istotą poezji. Tak szukał Mickiewicz, póki nie znalazł prawdy religijnej; wtedy przestał pisać poezje. Całe życie „szukał" Kasprowicz po niezmierzonych głębiach i przestworzach, aby wreszcie odnaleźć siebie w małym swoim „świecie" i spokojnie umrzeć. Lenartowicz z pokorą szukał, dając o sobie znać tęsknotami i uniesieniami wygrywanemi na fujarce („Dant na fujarce“— mówił o nim zgryźliwie Norwid). Norwid odrazu zajął taką pozycję, jak człowiek, który znalazł. Utrwaliwszy się raz na zawsze w niebie, trwał tam, jak balon na uwięzi, całą natomiast usilność twórczą wkładał w prawd przez siebie zdobytych — wykładanie. Tu był oryginalny w formie, ale przeważnie oschły, dydaktyczny, na zimno intelektualny.

Poetą lirycznym stawał się wtedy, a zdarzało się to dość rzadko, gdy sobie uprzytomnił, że jednak ziemia jest jego kolebką i gniazdem i że ta wolność w świecie idej, to tylko „zachwycenie" do nieba, stałym zaś losem jego, jako człowieka, jest niewola w karbach „konieczności". Zdaje sobie wtedy sprawę, że „wieszcz jest perjodem pieśni i profetą", tylko „odlatującym z pieśniami od ziemi", ale że należy do ziemi. „Czemu mi smutno?" — zapytuje. — „Ach, bo mi widnym strój tej wielkiej lutni, w którą wplątany duch każdego z nas"[2]). Niebo bowiem i ziemia, złączone promieniami, są dla poety, stojącego na czele prac ludzkich, jedną jękliwą harfą ziemi.

6. Jeżeli zechcemy orjentować się w twórczości Norwida wedle temperatury uczuciowej jego natchnień, to spostrzeżemy różnicę między utworami, związanemi z „ziemią" poety i utworami związanemi z „niebem". Pierwsze są liryczne, zagrzane uczuciem, tamte są ideowe, nieraz stratosferycznie chłodne. Wielkość swoją Norwid zawdzięcza pierwszym. Między niemi szereg typu mieszanego.

Gdy się mówi o poecie i jego wyobraźni uczuciowo-zmysłowej, to pamiętać trzeba, że takie pojęcie symboliczne, jak „ziemia" lub „niebo" mają swoje obciążenia psychiczne z przeżyć osobistych. Są to postacie rzeczy uczuciowej, więc „niebo" widziane kosmograficznie ze swoim kolorem błękitnym, z wichrami, obłokami, drogą mleczną i t. p. trzyma się wyobraźni, jako sfera życia nadzmysłowego, nadprzyrodzonego, ideowego, dzięki skojarzeniu z wierzeniami religijnemi, wkorzenionemi od lat dziecinnych; ziemia zaś — to rzeczywistość znana z doświadczeń życia: teoretycznie, jak wiadomo ze szkoły, — glob, ale faktycznie dla psychiki poety — to nazwa kraju, utraconego wskutek emigracji, to rzeczywistość przebyta w młodości. Te skojarzenia wyobraźni podnoszą temperaturę utworów.

W porządku wzruszeń poetyckich stapia się w jedno wszystko to, co w różnych koliskach, ale koncentrycznie, składa się na samopoczucie osobiste. A więc jakaś niedokładność organiczna, która sprawiała, że poeta od młodości odrywał się od ziemi, stwarzając sobie kurs imaginowany; oderwanie się od kraju do najwyższych sfer cywilizacji światowej, aż do zawrotu głowy, wreszcie „porażenie" umysłowe z powodu odkrycia filozoficznego, że świat rzeczywisty, owa ziemia, jest czemś, o ile myśl nada jej jakiś sens i znaczenie: wszystko to razem wytworzyło ową siłę „zachwycenia", które porwało poetę w „niebo". A prócz tego wszystkiego ginąca w oddali, i to bardzo szybko, młodość, na tej ziemi spędzona, pełna najradośniejszych wrażeń w poczynanem życiu literackiem. Śmiało rzec można, że dlatego „Promethidion", pomimo, iż treścią jego jest wykład filozofji sztuki, ma tak wysoką temperaturę poetycką; zawdzięcza swą moc pociągającą właśnie pierwiastkowi uczuciowemu nostalgji. W duszy poety odżyły (przywalone wrażeniami pielgrzymki) nietyko ideje, które go olśniły w Warszawie, ale wraz z niemi pamięć owych dni, kiedy na te tematy wiodło się spory w saloniku Skimborowiczów. Kto się zagalopował, temu przerywano: „Ho-hop! — koniku mój"[3]).

Czy słyszycie ów galop krwi w „Promethidionie"? Słychać go wyraźnie w „dwuświetnej" harfie Norwida.

(Dok. n.) ZYGMUNT WASILEWSKI

[2]) *„Aerumnarum plenus"*.

[3]) Por. „Bogumiła“ z obrazkiem wstępnym do „Poganki".

OD WYDAWNICTWA

Zeszytem obecnym kończymy trzeci kwartał bieżącego rocznika „Myśli Narodowej". Z nastaniem jesieni rozpoczyna się sezon wzmożonego ruchu umysłowego i czytelnictwa, najdogodniejszy czas

rozpoczynania prenumeraty.

Stałych czytelników upraszamy o niezwlekanie z odnowieniem przedpłaty i o uregulowanie zaległości.

Dla prenumeratorów, opłacających odrazu dwa kwartały (do 1 kwietnia 1935 r.), cena z przesyłką zł. 17 (zamiast 18).

Konto „Myśli Narodowej" w P.K.O. Nr. 3.105

NA WIDOWNI

Cytat z Mickiewicza. — Dawniej i dziś. — Nieżyciowa trzeźwość. — Francja, Polska i sprawa żydowska. — Organiczność społeczności narodów.

W DNIU, gdy w Krakowie kongres slawistów kończy swe prace uroczystem posiedzeniem ku czci Mickiewicza, po jakąż książkę sięgnąć ręką, jeśli nie po „Literaturę słowiańską", owo — jak słusznie wskazał p. Płoszewski — może najmniej dotąd badane, a przecież jedno z najbardziej imponujących dzieł mickiewiczowskiego genjuszu? Przerzucam pełne treści stronice, odczytuję fragment (Rok IV, lekcja XII z dnia 31 kwietnia 1844):

„Idź na poddasza, do mieszkań rzemieślników, zwiedź chałupy wieśniacze we Francji i w Polsce, a obaczysz, jakie tam obrazy, jakie emblemata, jakie imiona są przedmiotem pobożności narodowej. Oto naprzód Chrystus na krzyżu, wyraz i treść całej przeszłości, potem wizerunek Napoleona, symbol mocy, a obok niego portret marszałka wojsk francuskich, Poniatowskiego, przedstawiający uosobienie ślubu dwóch narodów.

Oba więc te dwa narody mają jedną religję polityczną..."

Urywam... Jakie to odmienne od tego tonu, którym w ciągu ostatnich tygodni wrzeszczą do nas — tłustym drukiem, jaskrawością wieloszpaltowych tytułów — wiadomości i artykuły dziennikarskie! Oto znowu donosi p. Auerbach (korespondent paryski pism warszawskich), że p. Sauerwein (francuski publicysta, rodem z Kowna) niezwykle ostro wyraża niezadowolenie Francji z naszego zachowania się jako sojuszników... Jakoś p. Mühlstein (przedstawiciel Polski w Paryżu, w randze ministra) nie potrafi dać sobie rady, by zmienić nieco te nieprzychylne dla nas nastroje w prasie i w społeczeństwie francuskiem...

— — — — — — — — — — — — — —

Błędem, który najwięcej bodaj zaciężył na stosunkach polsko - francuskich w dobie ostatniej, było rozpowszechnione mniemanie, że przymierze Francji z Polską, jako „wynikające z konieczności geograficznych, politycznych i t. d." — może być czemś rzeczywistem i trwałem bez wzajemnego zrozumienia się, zaufania, wspólnoty uczuć i zżycia się psychicznego między obu sojuszniczemi narodami. „Narody rządzą się interesem, nie sympatją" — oto pogląd, rzekomo „polityczny", w istocie zaś jakże naiwny, nowicjuszowski, doktrynerski, wypływający z nieznajomości świata i dziejów!

Oczywiście, naród zawsze walczy o s i e b i e, to ostateczny właściwie cel jego dążeń: walczy o swoją cywilizację, chce być sobą, chce swoje życie, a nawet i ludzkość całą urządzać według swoich pojęć, swoich zasad, swoich ideałów. Ale właśnie w tej cywilizacji narodowej jedną z jej składowych części jest zasób idej, wyobrażeń, przywiązań, niechęci, przesądów nawet — w stosunku do narodów innych. Byłbym — naprzykład — mniej Polakiem, uboższym w swojej polskości, gdyby mi obcy był urok katedry w Reims, tego tak przedziwnego objawienia drogiej i bliskiej nam cywilizacji chrześcijańskiego średniowiecza, katedry, przed której niezrównanym portalem Wyspiański po raz pierwszy uświadomił sobie powołanie swe jako poety narodowego. Mniej Polakiem byłbym, gdybym nie czuł przywiązania do Paryża, gdzie Kochanowski pisał „Czego chcesz od nas Panie", gdzie Mickiewicz tworzył „Pana Tadeusza", gdzie Szopen komponował „sonatę *b-moll*", gdzie Matejko zdobywał pierwsze odznaczenia. Byłbym gorszym Polakiem, wyrzekającym się wielkiej części swoich dziejów, gdybym zapomnieć potrafił o napoleońskich „orłach złotych obok srebrnych", o Dąbrowskim, o Dumouriez'ie, o tych przez dziadów naszych przekazanych przekonaniach o narodzie francuskim i naszem z nim współdziałaniu.

Z tego poglądu, że sojusz z Francją to narzucający się każdemu politykowi nakaz „racji stanu", wyprowadziliśmy wniosek, że wystarczy mówić do Francuzów tonem dyplomatycznych frazesów, powtarzać konwencjonalne banały, ani starając się, aby opinja francuska zrozumiała rzeczywiste zagadnienia życia Polski, jej istotne dążenia i potrzeby. Sposób w jaki opinja ta zareagowała obecnie na wypowiedzenie przez nas „traktatu o mniejszościach", jest najwymowniejszem świadectwem wynikających stąd, fatalnych w skutkach zaniedbań.

Wszak w społeczeństwie francuskiem, nawet jeżeli chodzi o wrogie Niemcy, możliwa jest objektywna, pełna zrozumienia ocena polityki przeciwżydowskiej Hitlera (dowodem choćby, omawiana ostatnio na tem miejscu, książka braci Tharaud: „*Quand Israël n'est plus roi*"). O ileż łatwiej nastawiłoby ono ucha na argumenty sprzymierzonych Polaków, gdyby wskazali, jak naprawdę najważniejsza to dziś dla nich sprawa, jak — izolując się od czteromiljonowej masy żydostwa — bronią czystości swojej rzymskiej, chrześcijańskiej kultury, więc tej podstawy, na której wspólnota z Francją ma swe najtrwalsze, nigdy nie zawodzące oparcie! Ale któż, właściwie, miał o tem mówić? Czy p. minister Anatol Mühlstein, oficjalnie reprezentujący dziś naród Sobieskich w stolicy Świętego Ludwika? Paryż, który przed paroma wiekami podziwiał przepych poselstwa polskiego, zapraszającego na tron Walezjusza, teraz mógł tylko... oglądać wspaniałość godów małżeńskich (w synagodze) — przedstawiciela Najjaśniejszej Rzeczypospolitej z Rotszyldówną... Czy zatem może p. Weinstein, wydający za pieniądze M. S. Z. książkę propagandową, mającą przekonywać naród francuski o polskości Górnego Śląska? Czy nasz konsul generalny w Paryżu, p. Poznański? Czy p. Krakowski z ambasady?..

Cóż dziwnego, że nie przygotowana zupełnie, opinja francuska przyjęła atak nasz na „traktat o mniejszościach" jako manewr taktyczny, tembardziej niezrozumiały i podejrzany, że przecież zasady owej umowy sami uznaliśmy za tak mądre i doskonałe, iż pragnęliśmy „upowszechnić" je w całej Europie... Skądże mogli domyślać się Francuzi, że obalenie tych zobowiązań, to dla Polski poprostu konieczność życiowa, pierwszy, nieodzowny warunek rozsądnego załatwienia sprawy żydowskiej, bez czego nasz normalny rozwój narodowy wogóle nie byłby możliwy?

Społeczność międzynarodowa, podobnie jak społeczność narodowa, nie jest sumą luźnych jednostek, ale czemś organicznem, zespołem różnych związków tradycyjnych, węższych a ściślejszych, które dopiero, przenikając się wzajemnie, tworzą właściwą, bardziej skomplikowaną całość. Narody nie są, jak w Lidze w Genewie, uszeregowane w porządku alfabetycznym, gdzie każdy z każdym w tym samym stopniu związany jest tymże paragrafem paktu, lecz naturalnie łączą się z sobą w mniejsze i większe grupy, prawem pokrewieństw

politycznych i kulturalnych, rozumienia się wzajemnego, sympatji. Polska jest w grupie narodów europejskich, cywilizacji rzymskiej i katolickiej, a w tym szerokim zespole najbliższe związki tradycji i przyjaźni łączą ją — nie przypadkowo — właśnie z narodem francuskim. Podobnie też, z drugiej strony, należymy do Słowiańszczyzny, a w tej rodzinie ludów, najbliższy nam wspomnieniami dziejowemi, cywilizacją zachodnio-europejską, językiem nawet— jest bezwątpienia naród czeskosłowacki. O tem w swej polityce zagranicznej nie możemy zapominać, jeżeli ma to być polityka narodowa, to znaczy jeśli mamy w niej być wierni sobie, urzeczywistniać swoje odwieczne ideały i dążenia.

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

NA POWITANIE POWRACAJĄCEGO Z GENEWY MINISTRA SPRAW ZAGRANICZNYCH zorganizował manifestację nieznany dotychczas Komitet Propagandy Czynu Polskiego. Prezes Komitetu, prof. Michałowicz, wygłaszając przemówienie owacyjne, zaprezentował jednocześnie swoją organizację: „Komitet Propagandowy Czynu Polskiego, utworzony dla szerzenia dobrego imienia polskiego"... („Gaz. Polska" z 1.X). Chyba tylko w dzisiejszych czasach możliwe jest powstawanie organizacyj o ambicjach tak wąskich. W jakiej innej epoce możliwe byłoby „szerzenie" dobrego imienia polskiego — wśród swoich? W jakiej innej mogłoby to komuś sprawiać satysfakcję, że sława Polski rozchodzi się i rozprzestrzenia — tak ściśle w obrębie granic państwa? Podobnie zredukowane pojęcia o sławie są właściwością naszych dopiero czasów. Nie dzieląc tych pojęć, nie możemy, rzecz prosta, dzielić także entuzjazmu manifestantów, zwerbowanych przez komitet. Komu zależy na wzroście *prestige*'u Polski wśród obcych, ten z przykrością prawdziwą myśleć musi o tem, jak mało działania dyplomacji naszej w ostatnich tygodniach podniosły naszą powagę i znaczenie w świecie międzynarodowym. Życzeniem i żądaniem społeczeństwa, oddawna wyrażanem, było zniesienie przepisów traktatowych o ochronie mniejszości w Polsce. Ale wcale nie było życzeniem społeczeństwa, żeby po oświadczeniu ministra spraw zagranicznych aluzje do „dobrego imienia" Polski czynione były z trybuny genewskiej tylko w sensie strofującym i upominającym — jak w przemówieniu przedstawiciela Anglji, p. Edena („ciekawem i eleganckiem", wedle określenia „Gazety Polskiej"). Niewątpliwym postulatem ogółu było stanowcze uwolnienie się Polski od kontroli obcej. Ale niczyjem pragnieniem nie było pozbycie się tej kontroli tylko... „do czasu wprowadzenia w życie powszechnego, jednolitego systemu międzynarodowej ochrony praw mniejszości" — jak obiecał przedstawiciel nasz w Genewie. Opinja, świadoma rzeczywistego wzrostu sił narodu, oczekuje przyznania przez inne państwa Polsce należnego jej wśród mocarstw stanowiska. Ale dyplomacja polska wywalczyła nam w świecie stanowisko tak *prestige*'owe, że w chwili, kiedy Rosja weszła do Ligi, ani u obojętnych nam, ani u sojuszników nie było mowy o przyznaniu stałego miejsca — Polsce. W tych warunkach przedstawiciele jej zadowolić się musieli — sukcesem roztropnej rezygnacji. Uwidoczniło się, że z sojusznikami nie umiemy utrzymywać zażyłych i pełnych zaufania stosunków, że nietylko nie potrafimy uzgodnić z nimi działań, ale nie potrafimy nawet naradzić się wspólnie zawczasu. Najelementarniejszym zaś, jak wiadomo, obowiązkiem we wszelkiej polityce zagranicznej, która ma być choć trochę wspólną, jest obowiązek uprzedniej konsultacji... Nie stać nas dzisiaj na to. Samodzielność nie pozorna, lecz rzeczywista, powinna oczywiście cechować całą politykę polską wobec świata. Ale niefortunnie wypadają przejawy jej takie, które całemu światu każą tylko powtarzać, że jesteśmy „*an adolescent state*"... Samodzielność jest konieczna. Ale o tem niema nawet co mówić, rozumie się to samo przez się. Tembardziej więc nie należy potwierdzać samodzielności — psuciem własnych sojuszów i pogarszaniem stosunków z własnymi przyjaciółmi... Sesja genewska okazała, jak jesteśmy dziś w świecie osamotniemi, i jak wyłącznie zdani na własne dobre mniemanie o sobie. Ta izolacja jest w pewnej mierze zasługą naszych reprezentantów. Oczywiście dobre imię państwa w świecie nie zależy tylko od działań dyplomacji. Rozstrzyga styl cywilizacji, charakter urządzeń państwowych, gatunek polityki ogólnej. Ale pewne rzeczy zależą też od umiejętności, kwalifikacyj i uzdolnień przedstawicieli dyplomatycznych państwa, od ich ustosunkowań i powagi osobistej, jaką się w świecie mogą cieszyć, niezależnie od swego urzędu. Narzuca się kategorycznie wrażenie, że pod tym względem dyplomacja nasza reprezentuje obecnie wartości zbyt nikłe i że ten niedobór powiększa nazbyt znacznie sumę skomplikowań i niepowodzeń w polityce zagranicznej... Aż dochodzi do tego, że sławę imienia Polski „szerzą" — nietyle ministrowie po świecie, co komitety po kraju.

ZJAZD SLAWISTÓW W KRAKOWIE

PO UKOŃCZENIU obrad kongresu slawistów w Warszawie, uczestnicy jego, acz w nieco pomniejszonej liczbie, przybyli dnia 28.IX do Krakowa, gdzie na dworcu, ustrojonym kwiatami i flagami narodów, uczestniczących w zjeździe, przywitały przedstawicieli nauki słowiańskiej, rzesze kulturalnej publiczności, oraz oficjalnie przedstawiciel m. Krakowa i rektora Uniw. Jag. prof. Jachimecki, który wyraził radość, że może być rozumianym przez przedstawicieli tylu narodów i witać ich tylko po polsku.

Głównym punktem kongresu było zebranie ku czci Mickiewicza w sobotę 29.IX w auli Uniw. Jag. Na sali zebrała się doborowa reprezentacja kulturalna Krakowa. M. in. przybył na uroczystość K. H. Rostworowski.

Zebranie zagaił rektor U. J. prof. Maziarski, kreśląc dzieje slawistyki krakowskiej i uzasadniając wybór Krakowa, jako miejsca najgodniejszego na uczczenie Mickiewicza.

Prezes Zjazdu, prof Jan Rozwadowski mówił krótko o Mickiewiczu—slawiście. Po profesorze z Belgradu—Popoviću, zabiera głos tłumacz literatury polskiej, ostatnio „Pana Tadeusza" na ję-

zyk francuski — Paul Cazin. Przemówienie jego francuskie, przerywane cytatami polskiemi z naszego poety, pełne było uwielbienia dla „Pana Tadeusza" jako dzieła wszecheuropejskiego na równi z najwyższemi dziełami ducha.

Następny mówi z zapałem prof. Heidenreich z Pragi, w języku czeskim, na temat: „Mickiewicz a literatura czeska". Ten temat jest, podług mówcy, niewyczerpany. Mickiewicz znał Czechów i był przez nich znany (przyjaźń z młodymi czeskimi literatami w Pradze, korespondencja z Wacławem Hanką) i wpływał wybitnie na ich twórczość. Czesi zawsze będą wdzięczni za mickiewiczowską charakterystykę budzicieli narodowości czeskiej, jako pełnych idealizmu apostołów. Szereg dzieł literatury romantycznej czeskiej jest przesiąknięty wpływami „Ballad", „Grażyny", „Dziadów", „Konrada Wallenroda". Na szczegółach można śledzić oddziaływanie Mickiewicza na Czelakowskiego. Wpływ „Pana Tadeusza" ma osobną historję. Bardzo się interesowali największym polskim poetą tacy literaci czescy drugiej połowy XIX wieku jak: Vrchlicky, Brzezina, Krasnohorska. Uwielbiali oni i przekładali „Pana Tadeusza". Wpływy te opisuje świeże dzieło prof. Machala p. t. „Vliv Mickiewiczuv na ceske poesie". Mówca kończy w języku polskim: „Kult Mickiewicza w mojej ojczyźnie był tak silny, jak nigdzie poza granicami Polski", czeska mickiewiczologja jest b. duża; „prochy Mickiewicza są dla nas nietylko symbolem, ale i wskazaniem przyszłości", więc mimo nieporozumień politycznych podajmy sobie dłonie na polu kulturalnem w imię wezwania: „hej, ramię do ramienia".

Prof. Ilesić z Zagrzebia mówi o odgłosach mickiewiczowskich w literaturze południowych Słowian, wskazując, że pierwszą wzmianką o Mickiewiczu poza Polską było zdanie w rozprawie Szafarzyka o literaturach słowiańskich w r. 1824.

Następnym mówcą jest entuzjastycznie witany prof. Giovanni Maver z Rzymu. Jest to postać, dla której w sercach polskich jest sama miłość. Ten entuzjazm, jakim darzył polskość na zjeździe Kochanowskiego w r. 1930, zachował prof. Maver do dziś na zjeździe ku czci Mickiewicza. Mówił o nim z głęboką czcią i powagą, w świetnej polszczyźnie, wspominając drobiazgowo o stosunkach „Mickiewicza i Italji". Pierwszym wielkim włoskim czcicielem Mickiewicza był Mazzini. Mickiewicz nie jest tylko poetą, on jest prorokiem.

Nakonie wstąpił na katedrę prof. St. Pigoń, aby mówić o „wiekowych zmaganiach Polski i Rosji w ujęciu Mickiewicza". W zestawieniu u ks. Piotra — „najsroższego z siepaczy", z przebaczeniem, które go czeka od Boga zawiera się cały stosunek Mickiewicza do Rosji. Stosunek ten rozpoczyna się wcale nie od dyssonansu, ale owszem od wiary, powszechnej naówczas, w dobrą wolę Aleksandra I: „on tak zły nie był, dawniej był człowiekiem" mówi się w III ks. „Dziadów". Pierwotnie święty gniew Mickiewicza przeciwko Rosji kierował się nie przeciw całej Rosji, nie przeciw masie ludowej rosyjskiej, ale wyłącznie przeciw systemowi politycznemu—caryzmowi. Dopiero w r. 1831, kiedy wypełzło „brudne nocy plemię" i car — Herod zamierzył do końca wytracić polską narodowość, lud zaś rosyjski dał mu aprobatę, zrodziła się pasja i wiara w wieczne przeciwstawienie idej dwu narodów, dobra i zła — stąd to żołnierze ruscy suną na redutę Ordona jak „ława robactwa". Caryzm staje się dla Mickiewicza „szatanem politycznym", a Mikołaj namiestnikiem piekła.

A jednak i wtedy, tuż obok straszliwych inwektyw *in tyrannos* jawi się życzliwość (Rykow) i chęć przebaczenia. W r. 1837 okazuje twórca „Jakóba Jasińskiego", w rozmowie między referendarzem a biskupem, w tym dramacie takie zrozumienie i tak genjalną bezstronność wobec rusofilów, że nowoczesny historyk Smolka uważa sąd ten za jeden z najlepszych dokumentów historycznych. Najpełniej wyraża się pogląd Mickiewicza na stosunek dziejowy polsko-rosyjski w prelekcjach. Ich myślą przewodnią jest przedstawienie immanentnej polarności Słowiańszczyzny i tajemnicy przyszłego jej rozwiązania. Prelekcje, to dramat, którego terenem jest Europa, zakończony, jak na dramat słowiański przystało, wielkiem proroctwem. Według tego dramatu Polska i Rosja, to nie dwie tylko ziemie, ale dwie myśli słowiańskie, walczące o północ, a może i świat. Tych dwu idej nie maluje Mickiewicz na biało i czarno, lecz widzi wykrzywienia ich obu. Wierzy też, że obie strony pozbędą się swych wad. Ponad wszystkiem jednak stoi wiara. że nie kto inny, a Polska ma być kolebką nowej wielkości Słowiańszczyzny. I serca swojego wielkością kreśli krzyż przebaczenia i pojednania nad daleką ziemią rosyjską. A że stało się to mimo męk i zniewag, dlatego jest to naszą wielką dumą narodową.

Zamknięcie Zjazdu odbyło się w niedzielę, 30. IX. Przemawiał prof. Rozwadowski, podkreślając charakter życzliwości i zgody, panujący na zjeździe, prof. Mazon (Francja), Bartolini (Włochy), wreszcie sekretarz generalny zjazdu, prof. Doroszewski odczytał sprawozdanie i wnioski Zjazdu, z których najważniejszemi są powołanie komisyj slawistycznych we wszystkich krajach, aby organizowały prace na zjazdy, oraz przyjęcie zaproszenia Rządu Jugosłowiańskiego, aby następny zjazd odbył się w jego państwie.

Ostatnim aktem wielkiego zjazdu był hołd prochom Mickiewicza na Wawelu. Po serdecznych słowach prof. Mavera, dwie delegacje, wieńcami od II Zjazdu Slawietów i *Collège de France* wstąpiły do krypty nieśmiertelnego imienia.

JAN BIELATOWICZ

NAUKA i LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Dowiadujemy się, że Jan Gwalbert Pawlikowski napisał książkę p. t. „Tatry w poezji". Pod tym skromnym tytułem kryje się dzieło niepospolicie ważne dla dziejów kultury i literatury. Pierwszy rozdział p. t. „Prehistorja" ukaże się w najbliższym tomie redagowanym przez Pawlikowskiego „Wierchów". Należałoby czemprędzej wyszukać nakładcę.

*

Prenumerata na książkę Z. Wasilewskiego o Norwidzie napływa dość gęsto, zwłaszcza z ziem zachodnich kraju. Pożądane byłoby szybsze jej tempo ze względu na konieczność uregulowania wysokości nakładu. Cena książki po wyjściu będzie podwyższona. Prenumeratę (zł. 4). nadsyłać należy do Administracji „Myśli Narodowej" czekami P. K. O. nr. 3.105.

*

„...I widziałem Anioła, mającego klucz otchłani i łańcuch wielki w ręce swojej. I uchwycił smoka, węża starego, który jest Djabeł i Szatan, i związał go na tysiąc lat". (Apoc.) — Niedościgłem marzeniem jest unieszkodliwić — choćby na ćwierć wieku — szatana w starej Europie, „aby nie zwodził dalej narodów". Cóż dopiero, gdybyśmy zechcieli nadać kształt realny wizji o tysiącletnim, ba... wiecznym pokoju?

Tem trudniej spętać „węża", iż zamieszkał on w tęgiem i zbrojnem ciele, pragnie ujarzmić narody, uwiedzione bajeczką o złej sprawie nawet obronnej walki.

Gdyby tak było, jak zdaje się wierzyć A. Strug w „Kluczu otchłani" (nowele, Mortkowicza), że „jędze" zazdrości i nienawiści wypełzły z piekła dusz ludzkich i wznieciły pożogę— możnaby planować wysiłek wojenny, który stałby się ostatnim w dziejach, pod hasłem: „wojna wojnie"!

W rzeczywistości jest inaczej: wojna w jednym wypadku jest samoobroną narodu, a z owoców krwawej ofiary korzysta wiele pokoleń i nie jeden naród. — Pomyślmy, czy rozwinęłaby się kultura europejska, gdyby pod Termopilami nie wstrzymano naporu, wrogiej europejskiemu indywidualizmowi, niwelującej cywilizacji Azjatyckiego Wschodu? Równie zbawczą rolę odegrała w ostatniej wojnie Francja, stając na straży celtycko-romańskiego idealizmu, zasady na modłę łacińską zbudowanych społeczeństw, którym usiłowano narzucić hodowlany typ pruskiego sposobu życia.

Niepodobna snuć rozważań na temat jakiejś abstrakcyjnej wojny, „wojny jako takiej", zasadniczo ujemnej moralnie — należy i w tej dziedzinie przeprowadzić klasyfikację wartości, która stać się może argumentem, zdolnym podważyć faryzejską demagogję pacyfistów. Strug patrzy na zjawisko wojny z punktu widzenia jej ofiar, w ten sposób wpada w ciasną jednostronność.

To sprawia, że chwilami autor w nieprzekonywujący sposób — choć z pasją — broni swej tezy: np. w dziejach żołnierza Doujat, bohatera walk na słynnej fermie St. Beat, obłąkanego po latach rzeźni pozycyjnej, niesłusznie na karb wojny kładzie śmierć nieszczęsnego na krześle elektrycznem— przyczyna leżała gdzieindziej: oficerowie-lekarze, którzy poddali swego pacjenta okropnej torturze, dogadzali swej — zresztą *par excellence* cywilnej — pasji badawczej, pragnąc wypróbować działanie aparatu w szczególnym wypadku porażenia umysłowego. Cała rzecz w tem, że czasy normalne w równej mierze obfitują w okrucieństwa i podłości, choć stosowane konwenansem — z drugiej strony cierpią na niedostatek czynów wielkiego imienia, których znowóż nie brak podczas wojny. (St. J.)

TEATR

LUDWIK XI

TOWARZYSTWO Krzewienia Kultury Teatralnej od jesieni rb. pracować będzie w pięciu teatrach warszawskich, mianowicie w trzech miejskich (Narodowy, Letni, Nowy) i w dwu p. A. Szyfmana (Polski i Mały). Dyrektorem odpowiedzialnym wszystkich tych scen został mianowany p. A. Szyfman, doradcą zaś literackim i drugim dyrektorem p. J. Kaden-Bandrowski. Jest to fakt godny zastanowienia, jako bezprzykładny, ileż bowiem odwagi posiadać musi dyrektor, podejmujący się kierownictwa pięciu teatrów! Czasy są dyktatorskie, więc i kultura artystyczna im ulega. Normalnie za najlepszy sposób krzewienia kultury uważano wolne współzawodnictwo talentów twórczych.

Chwila obecna wydaje się pomyślną dla teatru. Odpada bowiem konkurencja teatrzyków rewjowych, które już naprzykrzyły się publiczności. Ludzie chętnie szukają orzeźwienia w wielkiej sztuce; przynajmniej wielkiego słowa. Chodziliby chętnie na stare melodramaty, aby się wyrwać z nudy bezustannej... wesołości. Dyrektor Szyfman przekonał się o tem, przed rokiem bowiem próbował sojuszu z kabaretem. To nie poszło. Dla teatru Narodowego przeznaczył starą sztukę, mającą już sto lat zgórą, Kazimierza Delavigne'a pt. „Ludwik XI".

Sztuka zawiesista: 13 obrazów, stary król zohydzony, młodzieniec bohaterski wysoko podniesiony, obrazy barwne i tłumne z ludem. Jednem słowem przepisowa tragedja królewska, tak ulubiona przez teatr. Ileż to już powieści i dramatów napisano od Edypa do Lenina—gdzie bohaterem jest człowiek, wyniesiony ponad społeczeństwo i dający przez to widowisko z siebie, pamiętne na stulecia dla całego świata. Możnaby zapytać, co byłoby z wielkim teatrem, gdyby nie królowie? Sztuka dąży do pokazania człowieka. Z królami nadarza się to ułatwienie, że historja i legenda wystawia ich kościotrupy, prześwietlone popularnie, już gotowe w schemacie psychologicznym; poeta-dramaturg ubiera je tylkó w swoją sukienkę. Nawet Hamlet jest królewiczem duńskim, bo psychologja królewska jest efektowniejsza, niż — dajmy na to, jakiegoś ibsenowskiego budowniczego.

Taki król, wystawiony ponad społeczeństwo, jest samotny, czuje się ponad prawem i etyką, a nie może uciec od ludzkiej psychiki. Ciężar odpowiedzialności, przy braku oparcia społecznego i ułomnościach robi zwykle z takiego człowieka opłakane widowisko, na które poeci patrzą nieraz ze współczuciem. Delavigne mało okazuje serca swemu bohaterowi, jest bowiem republikaninem liberalnym i chce pokazać brzydkie strony monarchizmu, nie oświetla dlatego postaci Ludwika historycznie jako twórcy politycznego, bo mu potrzebna była czarna plama.

Nie czuć w tem dziele dreszczu historycznego, jak w dramatach współczesnego Schillera, i wogóle nerwu poetyckiego. Nie umiem sobie zdać sprawy z powodu, dla którego tę sztukę wystawiono u nas w tej dobie. Nie wybierał jej tłumacz, Stanisław Miłaszewski, była to inicjatywa teatru. Znakomity przekład i poczynione skróty podniosły wartość brzmiącego na scenie słowa, niezbyt u Delavigne'a — ważkiego. Towarzystwo Krzewienia Kultury Teatralnej, mając możność korzystania z pomocy poety tak znającego scenę i tak świetnie instrumentującego słowo poetyckie, mogłoby wybrać lepsze dzieło. Miłaszewski nadarzył się tak teatrowi polskiemu, jak francuskiemu w czasach romantyzmu Alfred de Vigny. Do dnia dzisiejszego literatura francuska przypomina z wdzięcznością zasługę tego poety, że tak znakomicie przystosował do sceny „Otella" i „Kupca Weneckiego".

A jak sztukę odegrano? Króla Ludwika pokazywał Węgrzyn, znakomity aktor. Grał go według wzorów zjednoczonych Solskiego i Stempowskiego. Majstersztyk sztuki aktorskiej. Książe Nemours, który, jeśli chodzi o głos, trzyma prym w tym zespole, dostał się p. Węgierce, aktorowi ze szkoły modernistycznej, doskonałemu być może, gdy chodzi o markowanie słów monosylabami w konwersacji kameralnej. Tutaj Węgierko musiał z siebie robić Węgrzyna za dawnych ról bohaterskich. Nastawił więc głos, jakby nie swój, na barwę surmy, a w tem rozpięciu głos ten nie brzmiał czysto. Nie burgundzkie tam dzwoniły struny.

Inne role są pomniejsze, ale wykonane starannie — składają się na poprawną całość. Z. W.

„EGIPSKA PSZENICA" W TEATRZE NOWYM

ZACZNIJMY od tego, że tytuł nie ma sensu. Został najzupełniej niewłaściwie zastosowany. Pani Marja Pawlikowska-Jasnorzewska, wyczytawszy w tak zwanych „michałkach" „Krakowskiego Kurjerka Ilustrowanego" wiadomość, że ziarna pszenicy, znajdowane w grobowcach egipskich mogą po zasianiu kiełkować, a nawet podobno wydawać plon,— przypięła epitet „egipska pszenica" do kobiety trzydziestoparoletniej, która po ośmnastu latach małżeństwa z bezpłodnym, starszym od siebie znacznie, panem — zdradza go z chłopczykiem dziewiętnastoletnim, zachodzi w ciążę i rodzi dziecko.

Tytuł wybrany przez panią Marję Pawlikowską-Jasnorzewską byłby właściwy tylko wówczas, gdyby bohaterka sztuki została matką wskutek stosunku z jakimś staruszkiem. Ale co ma wspólnego świeżutki dziewiętnastolatek z egipskiemi, zasuszonemi, nasionami z przed paru tysięcy lat? Tego ani rusz domyśleć się nie możemy.

W sztuce pani Marji Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej takie kulawe porównanie razi tem dotkliwie, że autorka Różowej Magji miewa w swoich wierszykach lirycznych porównania i przenośnie znakomite, prawdziwie poetyckie bardzo trafne i bardzo dowcipne. Niewiele takich trafnych i dowcipnych porównań zaplątało się do sztuki, którą omawiamy, naogół bowiem przeważały porównania przeraźliwie naciągane, sztuczne, wykukuryczone, pretensjonalne, dobrej literatki i utalen-

towanej poetki absolutnie niegodne. Styl, którym napisała „Egipską pszenicę” to pisarska tandeta. Przed wpuszczeniem sztuki na scenę należało go stanowczo poprawić. Coprawda teatry zmonopolizowane przez „Towarzystwo Krzewienia Kultury Teatralnej” nie posiadają takiego kierownika literackiego, który mógłby skutecznie korygować błędy stylistyczne. Trudno wymagać bowiem dobrej stylistycznej korekty od pana Juljusza Kadena-Bandrowskiego, najbardziej chyba nieokiełzanego metaforzysty ze wszystkich, który brykają — powiedzmy — po niwie prozy polskiej.

Stosunkowo najbardziej udany z pośród aforyzmów, które usłyszeliśmy w sztuce pani Marji Jasnorzewskiej - Pawlikowskiej, brzmiał:

„Kobieta powinna być jak gleba, jak pulchny białoziem”.

Ten białoziem to dowcip, mozolnie może wyszukany, ale bądź co bądź dowcip. Jeden z nielicznych, które podziałały na znużonych słuchaczy, zmusiły ich do uśmiechu. Ten i ów klasnął. W sypkiej kupie suchego pośladu trafiło się ziarenko świeże.

Sztuka nie bardzo widzom się podobała. Pomimo doskonałej chwilami gry artystów, którzy robili co mogli, żeby widowisko uczynić interesującem — publiczność premjerowa poziewała. Oklaski odzywały się rzadko i były skąpe. Po drugim akcie zrobiono autorce przez grzeczność zwyczajową owację, ale trwała ona bardzo króciutko. Zanim pani Marja Pawlikowska-Jasnorzewska zdążyła się ukłonić powtórnie — już maszynista pośpiesznie zapuścił kurtynę.

Nie można się dziwić publiczności, że przyjęła sztukę tak chłodno. „Egipska pszenica” to utwór zimny, mózgowy, przeintelektualizowany, a bynajmniej nie grzeszący nadmiarem mądrości.

Pani Marja Pawlikowska-Jasnorzewska wywarła w nim swoją niechęć do ludzi o normalnych popędach ojcowskich i macierzyńskich. Mężczyznę pragnącego zostać ojcem i starą kobietę stęsknioną do wnuków przedstawiła w sposób przesadny i karykaturalny. Patrzcie ludzie, jakie to śmieszne — (zdaje się mówić autorka do publiczności) — kiedy mężczyzna napiera się od kobiety dziecka! Patrzcie, czy może być coś zabawniejszego niż stara, siwowłosa kobieta pochylona nad kołyską wnuczka? Śmiejcie się! No śmiejcie się do kroćset djabłów! Powinniście pękać ze śmiechu.

Publiczność uśmiechała się z przymusem, żeby pani Marji Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej zrobić przyjemność.

Równocześnie pani Marja Pawlikowska - Jasnorzewska próbowała wmówić w publiczność, że romans trzydziestopa-roletniej matki z adoptowanym i wychowywanym jak rodzone dziecko przez kilkanaście lat synem — to idylla bardzo wzruszająca, że widzowie powinni patrzeć na tę sielankę z sympatją.

Tutaj suggestywność autorki zawiodła całkowicie. Rużowa magia pani Pawlikowskiej nie podziałała. Nikt nie dał się nato nabrać, pomimo że jak już wspomniałem powyżej gra Wawrzeckiego, Dulębianki, Gorczyńskiej, Pośpiałowskiego i reszty wykonawców chwilami była znakomita. Sztukę bardzo pracowicie wyreżyserowano, wyposażono w starannie skomponowane dekoracje i pieczołowicie dobrane rekwizyty ale wszystko to pomogło widowisku niewiele.

Gdybyż pani Marja Pawlikowska-Jasnorzewska, skoro w „Egipskiej pszenicy” nie stać jej było na poezję — przynajmniej swoją, paradoksalną sztukę interesująco skonstruowała! Ale, niestety, utworek został sfastrygowany bardzo niedbale. Autorce nie chciało się, czy też nie potrafiła, powypruwać szwów. Wskutek tego białe nici były widoczne zabardzo. W połowie pierwszego aktu wszyscy się już domyślali, że ten starszy pan, który tak natarczywie żąda od żony dziecka i który wymyśla jej za bezpłodność, okaże się pod koniec sztuki sam bezpłodnym, a że ta dama, której wymyślają, urodzi dla symetrji dziecko. Geometrja wykreślna cokolwiek zamało skomplikowana, przedewszystkiem zaś zabardzo widoczna. Sztuka, w której zgóry wszystkiego można się domyśleć, nie zasługuje na oglądanie, nudzi na kredyt. Siedzenie na fotelu teatralnym staje się wówczas torturą. Widz z przyjemnością zapaliłby papierosa, a musi tkwić na miejscu, bo wyjść nie wypada. Mówię to o zwyczajnym widzu, który do teatru poszedł dla przyjemności. Cóż dopiero powiedzieć o torturach krytyka teatralnego, który na dobitkę musi się jeszcze nazajutrz grzebać w „Egipskiej pszenicy”, oddzielać ziarna od plew, ważyć ją i oceniać.

ZASTĘPCA

MUZYKA

TYDZIEŃ ubiegły stał pod znakiem nowego sezonu muzycznego, tyle się więc faktów i wrażeń jednocześnie zebrało, że trudno jest doprawdy zastanawiać się nad szczegółami; dobrze będzie natomiast spojrzeć na całość zarysowującego się obrazu. Przyznajmy, że wygląda on bardzo... ciekawie. Ciekawie i symptomatycznie. Doprawdy — trudno jest nie pisać satyry...

Już koniec ubiegłego sezonu dał wiele do myślenia. Złożyło się na to wszystko, co w naszem życiu muzycznem wymaga naprawy od wielu już lat, no i, oczywiście, najnowsze wydarzenia z serji różnego rodzaju „opanowywań” bez wyraźnego celu i pozytywnej myśli. Wkrótce potem przyszły spory i zatargi, które, jeśli np. chodzi o największą naszą instytucję muzyczną w Warszawie, Filharmonję, doprowadziły w końcu do sytuacji, która dłużej trwać nie może. Próba otwarzania twórczości symfonicznej w małej salce, jest w rezultacie, zamiast przyjemnością, jakiemś dosłownem znęcaniem się nad słuchaczami. Czy można więc w tych warunkach liczyć na powodzenie? Przecież po odegraniu przez świetnego Hofmanna koncertu *e—moll* Chopina, publiczność poczęła opuszczać salę, nie mogąc poprostu znieść natłoku dźwięków...

Inauguracja sezonu koncertowego sali Konserwatorjum dała nam znowuż historję z nieprawdopodobnego, zdawałoby się, zdarzenia. Oto ni mniej ni więcej jubileusz (spóźniony zresztą o rok)... dzierżawcy sali p. Markiewicza.

Widowisko wyglądało następująco: najpierw ogromne afisze z protektoratem (a jakże!), tak jak obecnie trzeba, według panującego zwyczaju, samego prezydenta miasta p. Starzyńskiego, poczem (naturalnie) komitet honorowy. Przed koncertem przemowy i wymiana pocałunków, oczywiście z p. Wieniawskim, telegram od p. Ossendowskiego...

Dodajmy, że p. Markiewicz dostał dzierżawę sali decyzją Ministerstwa W. R. i O. P. na wniosek p. Maliszewskiego, mimo, że ubiegały się o nią Towarzystwo Miłośników Dawnej Muzyki i Towarzystwo Wydawnicze Muzyki Polskiej. To też słusznie pisze w ostatnim numerze kwartalnika „Muzyka Polska” p. Jan Olcha:

„W uwadze do ogłoszenia o konkursie istniało zastrzeżenie, iż decydującym momentem przy rozstrzyganiu konkursu będzie nie suma zaoferowana, lecz gwarancja dobrego — pod względem muzycznym — wykorzystania sali.

Ponieważ suma dzierżawna, zaoferowana przez Zarząd T-stwa Wyd. Muzyki Polskiej była nieco większa od sumy p. H. Markiewicza, trzeba przypuszczać, iż p. W. Maliszewski uważał, iż p. H. Markiewicz, przedsiębiorca koncertowy, daje większe i solidniejsze gwarancje artystyczno-muzyczne od profesorów Państwowego Konserwatorjum Muzycznego w Warszawie, którzy jako członkowie podpisali ofertę na dzierżawę sali”.

Wszystko to, przyznajmy, jest niezłym przyczynkiem do projektów doradzających—celem uzdrowienia stosunków w naszem życiu muzycznem—„planową gospodarkę” i oddanie się pod opiekę mecenatu państwa w obecnych warunkach...

Jakże inna atmosfera otacza nas na wieczorach poświęconych odtwarzaniu starej muzyki! Pierwsza w tym sezonie, a 126-sta z kolei audycja Stowarzyszenia Miłośników Dawnej Muzyki zawierała w programie Jarzębskiego, Jana Sebastjana Bacha, Mozarta i Haydna w wykonaniu orkiestry kameralnej pod świetną, wysoce kulturalną dyrekcją Teodora Zalewskiego.

Zapominało się na chwilę, że istnieją jakieś przykre, kompromitujące spory i zatargi, albo niespodziewane, a jednak prawdziwe jubileusze.

Całość obrazu inauguracji sezonu wypełnia „Eros i Psyche” Różyckiego w Operze, którą z dużą odwagą wzięła w tym roku pod swoją opiekę p. Korolewicz-Waydowa. Sprawozdanie z premjery odkładamy do przyszłego numeru.

W. NARUSZ

OFENSYWA

NACHALNIKI

I

NA jedną z kilku serjo postać w tej „Akademji Nieśmiertelnych”, ratującą ostatnie resztki *prestige*'u tej zagrzebanej Świątyni (*Temple Ensevelie*) to jest na prof. Zielińskiego, przed wojną jeszcze uczonego europejskiej sławy, odbywa się zapieniona nagonka zbuntowanej hałastry. Żydłactwo rozpasane nie czepia się archiburżujów Miriama i Berenta, którzy kolejno tępym nożem dożynali *bebé* od B. B., ale na objekt zajadłych napaści wybrało sobie sędziwego Greka i w różnych piśmiskach, nie tylko pokątnych, rzuca się zapienione na skromną pelerynę *great old man*'a.

W szmatławym „Wolnomyślicielaku” kaprawiec Belmont *recte* Blumenthal, pokątny adwokat i pornograf, takim tonem pisze o prof. Zielińskim, niepomny losu, jaki spotkał zasłużenie jego wiedeńskiego sobowtóra, pornografa Bettauera:

„Jednem z bolesnych *signa temporis* naszego gnijącego czasu jest polityczno-moralna dekadencja znakomitego uczonego, helenisty i romanisty prof. Zielińskiego. Ten upadek spostrzega postępowa prasa obecnie, kiedy nasza gwiazda akademicka wystąpiła naprzeciw gwieździe wskrzeszającego stosy średniowieczne dla dzieł myśli ludzkiej, ministra hitlerowskich Niemiec p. Goebbelsa — z powitalnym hołdem na niebie Polski. Byli jednakże tacy, którzy rysę pęknięcia na tym szlachetnym marmurze greckim spostrzegli wcześniej, lecz przemilczeli o niej z ubolewaniem, nie chcąc zawstydzać publicznie znakomitego uczonego, gdyż woleli zawstydzić się sami i wstyd swój schować do kieszeni. Byli to esperantyści. Nie chcieli oni z potężnych lapsusów, popełnionych przez prof. Zielińskiego w jego pochodzie przeciw językowi esperanto, uczynić sprawy głośnej... Nie o to wcale chodziło, że prof. Zieliński podjął, zresztą z namowy jakiegoś belfera łaciny, akcję na rzecz obkuwania w szkołach we wzmożonych porcjach niewątpliwie wspaniałego języka Rzymu... Chodzi jeno o to, że w swych przemówieniach zdradził on nietylko zadziwiającą, jak na uczonego, naiwność i ciasnotę myśli, ale już całkiem niegodną człowieka nauki metodę dowodzenia i... niesumienności”.

Niesumienności!

Osobnik, przez kilka lat oddający się zawodowo pornografji, wydający w Łodzi ohydne, plugawe, rynsztokowe tygodniki, w ten sposób w polskim języku pisze bezkarnie o jedynym znanym w całej Europie helleniście i romaniście polskim.

Uczony nasz poszedł więc na sam front czarnej listy proskrybowanych przez *Sanhedryn* (*Kehilla*). To też bardzo jest przykre, że do tej nagonki (zresztą nie wiedząc o niej) dał się też wciągnąć świetny fejletonista krakowski, Z. Nowakowski i najniepotrzebniej w świecie, po krakowskim Kohn-gresie Wychowania Moralnego (z popisami Brunswicka i Muszkatblitówny) cisnął się też na odważnego weredyka w tym momencie, kiedy całe nasze żydostwo piszące zaprzysięgło uczonemu wieczną zemstę i już zaczęło biblijny obyczaj kamienowania... kalumniami...

II

DOWCIPNEJ feljetonista „ABC” wydarzył się *lapsus* dość częsty u dziennikarzy, którzy dużo i szybko piszą. Referując o nowej imprezie operowej w przygodnym wywiadzie napisała: „Chodzą słuchy, że, nowa dyrektorka opery p. Karolewicz odmłodziła Operę bez pomocy Woronowa i małp (nawet usunęła z Opery kilkanaście starych małp)”.

Raz się udają dowcipnym dowcipy dowcipne, a raz sobie pozwolą lub się im wypsnie coś *mal a propos*. Nikt zaraz tego pod wielkie światło nie wywleka i afery z tego nie wyczynia.

Ale od czegoż pomysłowy żydek z Płocka, *ex*-radca Wasserzug, „Widz”, „Obserwator”, „Ixion”, ba, nawet Wasowski. Skorzystał z okazji *pressbub* z zawrzydzonego po sam pas „*Expres*'siaka” i wystąpił z filipinką. On jest specjalis od Wersalu. W „Ziemiańskiej” i w „Ipsie” nazywają go słusznie *markiz* Josele. I on jest orędownik od kobiet *(la femme)*. On jest *Grojseszyk* i *precjoznik* i wytworniś. Choć on jest w gruncie rzeczy także i antykapitalista i rewolucjonista, to na punkcie dam to jest zacofany *markiz*. Taka już jego natura i nikt na to już nic nie poradzi. On się zawsze ujmuje za słabemi, profesjonalnie i notorycznie, więc tem bardziej za usuniętemi przez panią Karolewicz „śpiewaczkami”...

No i stała się rzecz zabawna. P. Wasserzug, który przed reporterami z „*Expres*'siaków” pozuje na myśliciela, na socjologika, na reformatora świata, zajął się taką bagatelką! No i cały fujleton, że nie wypada, nie uchodzi. On może używać na codzień słowa „małpa”, ale w „ABC” to on nie c h c e. Żydek z *ghetta*, zaawansowany w życiu na bywalca z kawiarń narożnych, wali reprymendę osobie z towarzystwa o *savoir vivr*'ze pisarskim. Czysta humorystyka, choć brudna intencja Wasserruganta. I rzecz byłaby bez znaczenia, gdyby nie wciągnięcie do reporterskiej aferki całego „Zaspu”. Najpierw dał się wciągnąć w akcję osławiony na bruku warszawskim Tenorino, bezrobotny, obwieszony tysiącem orderów, „okropnie niecierpiący Endecji” i korzystający z każdej aferki, żeby wścibić swój nosek i trzy groszki. Potem zaś wystąpił na scenę w imieniu niby obrażonego *(sic)* „Zaspu”, prezes J. Śliwicki.

Żydziak z Płocka triumfuje. Całe lata pisze i pisze swe „Sygnały” (synagogały). Zaczepia się na wszystkie strony. Porusza wszystkie tematy, byle na Joselka — „Iksyonistę” ktoś, gdzieś, zwrócił uwagę. I nic nie pomaga. Pies z kulawą nogą nie przystanie i nie podniesie nogi. A tu nagle triumf. W redakcji wszyscy winszują. W „Ziemiańskiej” owacyjnie przywitany. W „*Café Club*” grupa starszych chórzystek wyznania mojżeszowego wręczyła mu bukiet.

Od *Tante* Lufy telegram: Brawo Joselek! Zawsze taki sam *fajne puryc*!

Tylko kiedy zaszedł do Zoologu któregoś dnia „Ixyon” z „*Expres*'su”, spotkał go afront. Obrażone małpy na jego widok wszystkie tyłem...

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Akademja Literatury jest wzburzona z powodu krzywdy, jaka spotkała akademika Z. Miriam-Przesmyckiego: Pini przywłaszczył sobie dzieła Norwida, które są właściwie jego, Miriama dziełami, bo on je znalazł.

Akademik rejent Leśmian doradza proces cywilny z tytułu znaleźnego.

Akademik Rzymowski, znawca prawa rzymskiego, doradza skargę o pogwałcenie praw autorskich Norwida, którego wskrzesił i usynowił Miriam (*adoptatio*).

Akademik Kleiner przyznaje prawo własności wprost Miriamowi z tego tytułu, że dzieła Norwida nie są do pomyślenia bez przypisów Miriama i stanowią tych przypisów część nieodłączną (*res attinens*).

Akademik Bandrowski nalega na wytoczenie procesu karnego o włamanie do kasy Mortkowicza.

Prezes Sieroszewski, przychylając się do opinji ak. Rzymowskiego, utrzymuje, że skoro Miriam Norwida usynowił, to Miriamowi należą się alimenta i o nie należy Piniemu proces wytoczyć.

Akademik Boy-Żeleński odezwał się dwuznacznie, że gdyby nawet Pini dowiódł, iż dzieła Norwida stanowią *res nullius*, to i wtedy Miriam właśnieby wygrał. Bo któż to jest Nullus? To jest ów Norwidowy Quidam przyszłości, który dziedziczy po genjuszach przeszłości.

Narady trwają dalej.

*

Znany aktor warszawski p. Stefan Jaracz zamieścił we wrześniu w żydowskich „Wiadomościach Literackich“ duży artykuł, miażdżący p. Arnolda Szyfmana, dyrektora pięciu głównych teatrów stolicy państwa polskiego,—artykuł całkiem słuszny.

Ale w czasopiśmie „Nasz Przegląd“ — również żydowskim—w dniu 12 maja roku zeszłego ten sam p. Stefan Jaracz zamieścił schlebiający żydom wywiad, w którym między innemi tak mówił:

„Mieliśmy i mamy wielu doskonałych aktorów pochodzenia żydowskiego. Że tylko wymienię z dawniejszych świetnego aktora Feldmana, a z obecnych wybitniejszych nazwisk teatralnych — Broniszównę, Borowskiego, Węgierkę, Szyfmana“.

Może jakim przypadkiem „głos“ nasz dojdzie aktora, pisującego w prasie żydowskiej... Licząc tedy na taki przypadek, śmiemy zapytać p. Jaracza, kiedy był w zgodzie ze swojem sumieniem: w maju roku 1933, czy we wrześniu roku 1934 — — ?

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM